

W. CROWNE

L





173

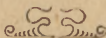


323451
Kazimierz Laskowski.

W CUKROWNI.

POWIĘŚĆ.

Część I.



884-3-84
WARSZAWA
NAKŁADEM „ZIARNA.”

1904.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава 5 Сентября 1904.



483999

Wanda leży w naszej ziemi
Co nie chciała Niemca...

(Znana piosenka.)

I.

Deszcz ustał.

Gżycki wychylił się z powozu, spoj-
rzał ku niebu, potem rzucił okiem na
błotnistą, pełną kałuż drogę.

— Janie, jedź! — odezwał się nie-
cierpliwie do furmana. — Pośpieszaj,
będziemy późno! — powtórzył z naciś-
kiem.

Furman biczyskiem ukazał na błoto.

— Ciężko, proszę pana! — odrzekł
z flegmą, ale strzepnął lejcamii i czwórka
rosłych kasztanów ruszyła żwawiej.
Po chwili jednak konie same zwolniły
kroku.

Gżycki ponowił rozkaz.

O! będzie na czas — bąknął woźnica
z niechęcią. — Już Wisłę widać! A no!

Przy tych słowach podniósł się na koźle i ujrzawszy przed lejcowymi końmi duży wybój, skreślił raptownie w bok. Bryznięło błoto, powóz przechylił się, wachlarzami nieomal dotykając ziemi.

— No, no, wywróćisz! — krzyknął Gżycki. — Uważaj!

— A, pan każe śmigać. Trza było pierwaj drogę naprawić — zauważył poufale Jan i roześmiał się, spoglądając na przestraszoną twarz siedzącego w powozie.

Gżycki zmarszył brew.

— Jan... widzę... znowu tego... — zaczął, przytknąwszy palcem w szyję, starając się przytem przybrać wyraz surowy i karcący.

Wymowna ta uwaga nie zrobiła na furmanie najmniejszego wrażenia. Ruszył z lekceważeniem ramionami i bez wahania odrzekł:

— Panu sekretarzowi to zawdy jedno na myśli. A mnie się widzi...

— Niech się Janowi nic nie widzi! Niech Jan jedzie, a nie rozprawia. Pan administrator może już być na przewozie... Rozumie Jan!

— Co nie mam rozumieć. Ale ja przecie ciągnąć nie będę. Trza było drogę naprawić. Rozbili burakami... mia-

ła być reparacya. Ale to tam takie rządy! Wszystko w kieszeń idzie!... Dawniej to przynajmniej *siutru* i *faszyny* nawieźli... a teraz i to ustało.

— Pijanica — syknął przez zęby Gżycki.

— Niech se tam pan sekretarz co chce gada — rozprawiał w dalszym ciągu, nie zważając na przycinek, rozgadany furman — a ja pedam, że teraz w fabryce wszystko się psuje..

Po chwili zaś dodał:

Różnie tam o tem ludzie mówią.

— A cóż ludzie mówią? — spytał Gżycki od niechcienia.

— Co? Ano gadają, że *dministrator* ma nie być.

— Głupstwo!

— Tak mówią. Pono nasz hrabia już nie chce *miemców* trzymać. Wyganiają oni naszych... Kiedyś wrócił do Murowańca Kuba z żoną. *Ciupasem* go do granicy beskudy prusaki odstawili... Styrał się chudzina... musiał graty za byle co wyprzedać, bo mu otchu nie dali.. żandarmów nasłali i wprost na drogę wyrzucili, choć *paśport* miał.

— Takie prawa — wtrącił sentencyonalnie Gżycki. — Nie wolno zagra-

nicznym poddanym chodzić na zarobki.

— A czemuż oni do nas idą. Niedaleko szukając w naszej fabryce... miemieć na miemcu! Biedny człek pożywić się nie może, a jak kogo wezmą z naszych, to jeno do *czarnej* roboty. Czy to tak dobrze?

Gżycki nie odpowiedział nic. Rozmowa z stangretem była mu wogóle nie na rękę, choć w głębi duszy przyznawał rozumowaniu chłopu nieco racyi, zwłaszcza, że pogłoski o usunięciu administratora nie były pozbawione podstawy. Pewności jednak żadnej nie było. Mówiono o tem w zarządzie cukrowni, wspominał mimochodem starszy buchalter, ale jak dotychczas, kończyło się na głuchych wieściach, sam zaś Gżycki, będący oficjalistą od posyłek, wnioskował z różnych okoliczności, że *abszti* nieprędko nastąpi. Zresztą przyjazd administratora, zapowiedziany telegraficznie, utwierdzał go w tem przekonaniu. Tem więcej przeto uważał za stosowne nie wdawać się w drażliwą dysputę z rozmownym woźnicą. Więc nie odpowiadając na pytanie, zaczął znowu karzącym głosem przynaglać do pośpiechu:

— Niech-no Jan nie rozprawia... bajek nie roznosi... jak się spóznimy, będzie *straf*! Pan administrator nie żartuje!

Pogróżka trafiła do przekonania. Jan cmoknął, rozwinął bat, uderzył dyszlowe na przegietkę, kasztany ruszyły kłusa. Ale mimo to nie dał pogawędce za wygraną. Z Gżyckiego nie robił sobie wiele, jeździli razem od lat kilku po „drogach,” wiedział o sekretarzu „różności,” miał go, jak to mówią, w garści, wiedział też, że choćby ten chciał, to z jego zwierzeń nie skorzysta, bo by się przy tem różne sprawy wydać mogły, więc choć Gżycki, nierad z poufałości, wsunawszy się w głąb powozu milczał, Jan nie przestał mówić:

— O, *halunkowałby* pewnie! — jął znówu gwarzyć, skoro wjechali na równiejszy, wysadzony topolami gościniec. — A i *straf* kazałby zapłacić. Ale niech się pan sekretarz nie boi... Będziewa w porę. Ano, już i przewóz widać.. Przewoźnicy czekają u drugiego brzegu z promem. Będziewa na czas. To i dobrze... Trza szkapom wytchnąć... bo się zmachały. Psiakość taka droga! Niech ją siarczyste!

Zaklął,

Gżycki wziął na cierpliwość i milczał uporczywie, rozglądając się w okół.

Dojeżdżali do celu. Powóz toczył się teraz szybko przez nadbrzeżne pastwiska. Droga wiodła wężykowato wzdłuż wału ochronnego, poza którym zieleniły się kępy wikliny, skąpane w pozostałych po ostatnim wylewie strugach. Na pastwisku pasło się kilka par koni, gromadka włościańskiego bydła szczypała przyżółkłą na jesiennym chłodzie drobną trawę, grzęznąc racicami w przesyconej wilgocią darninie; z wikła dołatywał melancholijny pokrzyk czajek. Im bliżej Wisły, grunt stawał się więcej grzęskim, nawet na drodze, mimo nasypu, kopyta biegnącej szparko czwórki wydawały charakterystyczny odgłos, do mlaskania podobny.

Do Wisły było kilkadziesiąt kroków. Popryszczone od słońca skorupy namułu, łachy żółtego, napływowego piasku, porośłe gdzieniegdzie skrzypem i rozchodnikiem, zwiastowały blizkie sąsiedztwo wody.

Jesteśwa! — odezwał się Jan wesoło, podnosząc się nieco na koźle.

Gżycki odrzekł krótko:

— To dobrze. Niech Jan stanie na

wale. Zjeżdżać nie trzeba, bo brzeg stromy.

To mówiąc, zaczął na sobie poprawiać ubranie, pogładził siwiejącą brodę i mruknął sam do siebie.

— Dyabli wiedzą, czego się właściwie trzymać. Kto wie, skoro już chamy przebąkują, czy się *stary* utrzyma? Chociaż... nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Sprytna sztuka, da on sobie radę! Zresztą ma przecie kontrakt... Nie! nie... to wszystko bajki... I syna sprowadził... Młody już na tę kampanię miał zostać dyrektorem... Wachtman wychodzi... Wolę ja się *starego* trzymać.. Z tej gadaniny nic nie będzie, — rozmyślał — zamiast jednego, będziemy mieli tylko dwóch Kurzbachów! Stryby młodego tak po nic nie zwoził... Hrabia hrabią, a administrator administratorem... Nie tak to łatwo go wyrzucić... Zobaczymy... z miny starego wyczytam, co się święci.

Zamyślił się.

Tymczasem Jan, podjechawszy pod rosnący przy wale białodrzew, zatrzymał konie. Gżycki wysiadł i nie zwlekając, puścił się szybkim krokiem ku przewozowi. Gromadka chłopów, cze-

kająca na brzegu, pokłoniła mu się zdaleka. Odkłonił się.

— Prom na tamtej stronie? — spytał.

— A juści — odpowiedziano. — Czekaj na podróżnych.

— A kolej już gwizdała?

W miejsce odpowiedzi dał się słyszeć przeciągły świst. Niebawem na przeciwległym brzegu wszczął się ruch. Nadjechało kilka furmanek. Przewoźnicy podciągnęli prom liną i zarzucili kładki.

Gżycki przysłonił dłonią oczy, spojrział. Flisy pośpiesznie wnosili rzeczy podróżnych, składając je na ławkach. Gżycki wpatrywał się bacznie.

— Jest — szepnął po chwili.

Na prom wchodził otyły mężczyzna średniego wzrostu, podpierając się laską. Na głowie miał czapkę bez daszka, z ramion spadał mu aż do ziemi pled, co całej postaci nadawało wygląd niezwykły. Jeden z przewoźników niósł przed nim fotel składany, który rozstawił na środku promu. Podróżny gestykulował żywo, a choć odległość nie dozwalała słyszeć głosu, z ruchów znać było, że się o coś gniewa. Wreszcie zasiadł wygodnie na przygotowanym

fotelu, wyciągnął nogi przed siebie i widocznie upatrywał kogoś, bo, podobnie jak Gżycki, przysłonił dłonią oczy.

Gżycki dostrzegł ten ruch. Wydobyl z pośpiechem chustkę i jął wymachiwać w powietrzu, sygnalizując. Potem zaczął biegać nad brzegiem tam i z powrotem, zaniepokojony jak kokosz, gdy wodzone przez nią kaczęta na wodę spłyną, ona zaś dosięgnąć ich nie może.

Tymczasem prom odbił od brzegu. Rozległ się miarowy odgłos bijących w rzekę wiosel; żylaste, nagie ręce przewoźników, to unosiły się w górę, to gięły w dół, walcząc z prądem rzeki. Stojący u rudła stary flis, pochylał się całą postacią naprzód, kierując wprawnie. Niekiedy rzucał kilka słów komendy towarzyszom, czasem silniej w wiślaną falę uderzył. Wtedy prom zmieniał kierunek, omijał wynurzającą się mieliznę i sunął dalej, kołysząc się zwolna. Przeprawa szła szybko. Plusk wiosel, chlebot fal kolebiących w dno promu, coraz wyraźniejszym się stawał. Można było już rozróżnić głosy ludzkie, pojedyncze wyrazy. Dreptający po brzegu Gżycki ponowił sygnał chu-

stką. Siedzący na fotelu podróżny zdawał się tego nie widzieć, dopiero gdy Gżycki, pragnący bądź co bądź zaznaczyć swą obecność, krzyknął: *Hop! hop! Habe die Ehre!* podniósł się z siedzenia i skinął ręką. Poczem zaczął przynaglać przewoźników do pośpiechu.

Muskający szarą wstęgę Wisły wiatr, niósł ku brzegom szorstkie echo słów:

— *Nu!! Schafskopf! Halunker! Faulenzer! Nu!*

Ręce chłopskie poruszyły się jeszcze szybciej, mięśnie wyteżały się silniej. Prom, pchnięty magiczną siłą cywilizacyjnych dźwięków, przybił do brzegu.

Na brzegu stał w pokornej postawie, z odkrytą głową Gżycki, oficyalista cukrowni, której pan Otto Kurzbach był od lat dwudziestu pięciu administratorem, a pan Horst Kurzbach miał zostać dyrektorem, o ile bajki chłopskie nie miały podstawy, i witał przybyłego:

— *Gehorsamster Diener! Herr Administrator!*

— *Malzeit Gżicki!* — brzmiała odpowiedź Kurzbacha.

Z trzech ludzi, którzy niebawem mieli dążyć razem do polskiej wioski,

jeden tylko stary Jan, stojący obok koni na wałowym wzgórku, przemówił zrozumialej i szczerzej:

— Ano! pojedziewa ze *śwabem!* pojedziewa! Ścierwo spaste... Będzieta miały co ciągnąć! Psiakość!

Mówił to do czwórki kasztanów.

Kurzbach, opierając się na ramieniu idącego ciągle z odkrytą głową Gżyckiego, z trudnością wydostał się na stromy brzeg, na którym stał ekwipaż. Długie płaskie stopy otyłego administratora zapadały się w sypki piasek; Kurzbach mruczał i sapał, całym ciężarem pokładając się na towarzyszącym mu oficjaliście.

Tymczasem przewoźnicy wynosili z promu rzeczy i pakunki: olbrzymi kufer podróżny, osłonięty futerałem z nieprzemakalnego płótna, sakwojaż, fotel składany, derę strzyżoną i kilka jeszcze innych ściśniętych w paski przyborów.

Kurzbach skinął na jednego z niosących, zapuścił rękę w kieszeń szerokich spodni i nie patrząc na nisko kłaniającego się chłopca, dał mu kilka sztuk drobnej monety.

— Nu Gżicki! — odezwał się po chwi-

li, ruchem głowy ukazując na pakunki.

Gżycki własnoręcznie jał pomagać przewoźnikom i Janowi, który pokłoniwszy się kilkakrotnie, przywiązywał teraz kufer za powozem. Oficjalista naglił:

— Prędzej! prędzej! a uważnie, żeby się rzeczy w drodze nie obtarły.

Z wielką też starannością sam układał zawiniątka i paczki, ukradkowo spoglądając w stronę stojącego nieopodal Kurzbacha, jakby badał, czy ten pieczołowitość oficjalisty o dobro pańskie spostrzega.

Ale Kurzbach przyglądał się tym zabiegom i krzątaniom obojętnie, parokrotnie zaledwie raczywszy wykrzyknąć stereotypowe:

— *Nu Gżicki!*

Stał nad brzegiem Wisły z głową podniesioną do góry, wydawszy wargi, z okiem utkwionem w okoliczną przestrzeń, jak wódz-zdobywca, rozpatrujący zajęty plac boju.

Dopiero na głos Gżyckiego: *Schon fertig! Herr Administrator!* ruszył zwolna ku pojazdowi i podsadzony przez otwierającego drzwiczki oficjalistę, siadł,

nie zwracając najmniejszej uwagi na ponawiane niskie ukłony starego Jana.

Gżycki, otuliwszy nogi administratora derą, usadowił się na przodzie.

Ruszono.

Jakiś czas jechano w milczeniu. Gżycki nie śmiał pierwszy wszczynać rozmowy, Kurzbach zaś, zapaliwszy cygaro, rozglądał się jak poprzednio, badawczo w okół, rzucając od czasu od czasu przenikliwe wejrzenie na oficjalistę.

Wjeżdżano do najbliższej wioski. Zła wogóle droga, w opłotkach wiejskich była jeszcze gorsza. Kałuża zlewała się z kałużą, wyboj łączył z wybojem. Pojazd co chwilę przechylał się to w prawo, to w lewo.

Kurzbach zaczął się niecierpliwić.

— Gżycki! — odezwał się gniewnie — dlaczego drogi nie naprawiono. Przecież kazałem, aby każdy z plantatorów płacił na ten cel po kopiejce z dostawionego korca buraków. •

Gżycki odrzekł nieśmiało:

— Nie chcieli!

Kurzbach wybuchnął.

— Nie chcieli!? *Verflucht!* Dlaczego nie chcieli? Przecież cukrownia nie może własnym kosztem robić takich

nakładów. Zresztą od lat kilku zaprowadziłem taki porządek... płacili... Co to ma znaczyć Gżycki?! kto się pierwszy sprzeciwił?

Oficyalista westchnął:

— *Nu gadać! Pewnie ten Prusdowic...*

— Istotnie pan Bruzdowicz pierwszy odmówił składki.

Kurzbach zaśmiał się złowieszczo.

Ha! ha! *Halunker!* ja mu pokażę! Nie dać zaliczki! Niech mi Gżycki przypomni, albo...

Po chwili zaś dodał:

— Czy mój syn.. pan Horst—poprawił—tam bywa? Hm?

Gżycki zawahał się.

— To jest... tego..

— Bywa? — powtórzył ostrzej Kurzbach.

— Czasami... w niedzielę...—wybąknął pytany z widocznem zakłopotaniem i obawą.

— To bardzo dobrze—odrzekł Kurzbach z flegmą.

Gżycki zdumiał. Spodziewał się wybuchu gniewu, tymczasem, przeciwnie, tak same słowa Kurzbacha, jak i ton w jakim wypowiedziane zostały, mówiły co innego.

Był to dla Gżyckiego zawód miły. Choć więc nie odgadywał przyczyn takiego zapatrywania się administratora, ośmielony, uważał za stosowne korzystać ze sposobnej chwili i nie przerywać rozmowy.

Jakoż zaczął nanowo:

— Pan Horst bywa u państwa Bruzdowicz, zapewne w interesie. Pan Bruzdowicz cieszy się wśród obywatelstwa dużem uznaniem... Podobno stanowczo zażądał podwyżki... inni gotowi pójść za jego przykładem. Pan Horst... pan dyrektor... zapewne pragnie wpłynąć na...

— A zkaż Gżycki wie, że Horst został dyrektorem? — spytał Kurzbach, przerywając.

— Ja? niby... Wszyscy o tem mówią...

— Mówią? Ale przedtem rozpowiadano co innego? — surowym tonem zagadnął Kurzbach, a gdy Gżycki nie odpowiadał, powtórzył rozkazująco:

— *Nu* Gżycki! mów! Opowiadali, że ja już nie będę administratorem! Cieszyli się!.. ha! ha! — zaśmiał się sucho.

Gżycki również nadrobił śmiechem i nie odpowiadając wprost przemówił:

— Pan administrator wie o wszystkim...

— Wiem.

— Byli jednak tacy, co się tą niemłą zapowiedzią zmartwili — wtrącił Gżycki znacząco.

Kurzbach spojrzał nań uważnie, po czem rzekł:

— Ja mam dobrą pamięć. Ja będę pamiętał!

Była w tych słowach i obietnica nagrody i pogrożka zarazem.

Gżycki zrozumiał to dobrze. Przyszedł mu na myśl zaraz wice dyrektor fabryki, Olszyński, który jawnie przeciw administratorowi występował.

— Tego dyabli wezmą! Nie chciałbym być w jego skórze — rozważał w duchu. — I chemikowi się dostanie. Stary nie lubi żartować.. Ale co mi tam do tego, byłem ja miejsca nie stracił.

Niemniej postanowił skorzystać z wygodnego sam na sam i upewnić się stanowczo, jak rzeczy stoją, bez świadków.

Twarz nastroił odpowiednio, i chociaż rozmawiano po niemiecku, obejrzał się na furmana z dobrze udaną ostrożnością, poczem nachylając się pra-

wie do kolan Kurzbacha, przyciszonym głosem zaczął:

— Jaby panu administratorowi miał coś do powiedzenia...

— *Nu!?*

— Ten cały *strej*k między plantatorami to sprawa Bruzdowicza i... i.. Olszyńskiego.

Kurzbach popatrzył nań uważnie, przenikliwie.

— Tak Olszyńskiego — ciągnął Gżycki. Przywidziało mu się, że powinien zostać dyrektorem i teraz...

Kurzbach machnął pogardliwie ręką, jakby go ta wiadomość nie a nie nie obchodziła.

To Gżyckiego zbiło z tropu, zamilkł, ale po chwili zaczął z innej beczki.

— U pana Bruzdowicza odbył się w tych dniach zjazd obywateli. Pan dyrektor był także zaproszony... Uczestniczył... Podobno plantatorzy wnieśli podanie do hrabiego z żądaniem podwyższenia ceny buraków o dwadzieścia kopiejek na korcu...

Kurzbach uśmiechnął się szyderczo:

— A *Gżicki* co o tem myśli — zagadnął.

— Ja? Ja?... Jeżeli mi wolno wyrazić swe zdanie to... sądzę, że do

wiosny jeszcze daleko. Mamy czas. Na jesieni wszyscy są przy pieniądzach, ale po Nowym Roku zmiękną. Zgodzi się jeden... drugi... trzeci i bez podwyżki się obejdzie...

Kurzbach zaczął się śmiać na cały głos.

— *Du hast Kopf Gżicki! du hast Kopf!* Tak będzie! tak będzie... *Wir kennen unsere Pappenheimer*— bełkotał klepiąc oficjalistę po ramieniu. Poczem wydobywszy cygaro dał go towarzyszowi.

Gżycki przyjął ten namacalny dowód zadowolenia, z oznakami najżywszej radości. Ujął cygaro w dwa palce, delikatnie, powąchał, wzrokiem wyrażając zachwyt. Nie śmiał jednakże zapalić, dopiero gdy Kurzbach gestem dał do zrozumienia, aby to uczynił, uciął w zębach koniec i zatrzasnawszy zapalnąkę pociągnął. Palł zwolna, napędzając dłonią ulatujące kłębiki dymu powtórnie w usta, a równocześnie myślał:

— Dobrze się zaczęło. Trzeba kuć żelazo na gorąco. Byłbym głupiec, gdybym z okazji nie korzystał. Trzeba się *staremu* przypodobać... Gratyfikacya pewna.

I już otwierał usta. gdy Kurzbach nagle spytał:

— Gżycki... Ile lat już jestem administratorem?

Pytanie uczynione znienacka zasta nowiło na chwilę Gżyckiego, jednakże po krótkim namyśle odpowiedział po śpiesznie:

— Dwadzieścia pięć... Od roku... Pannie administratorze!

— *Ja! ja! fünf und zwanzig!* — potwierdził Kurzbach. — *Fünf und zwanzig!* — powtórzył, i wychyliwszy się z powozu powiódł wzrokiem w okóło.

Przejeżdżali właśnie w pobliżu pola, zasadzonego burakami. Kilkanaście robotnic wyrywało kłęby, składając je w przyzmy. Spódniczki krótkie, nogi bose, na głowie chustki wzorzyste, związane w kształt turbana, ręce unurzane w ziemi.

Ujrawszy zbliżający się pojazd, przerwały robotę, wyprostowały się. Jedna z bliżej stojących pokłoniła się ręką do ziemi, za nią poszły inne, a po chwili jakby na powitanie podróżnych rozległ się śpiew.

Zadźwięczała w powietrzu tęskna nuta ludowej piosenki.

Gżycki — struchlał,
Dziewczęta śpiewały:

„Matko Boska! polska! ochraniaj polaków,
„Tych przybłędów Śwabów, powrzucaj do
[krzaków.”

Tak śpiewały. Mimo odległości słyszał najwyraźniej i zląkł się. Kurzbach rozumiał, a nawet mówił nieźle po polsku. Treść przyspiewki mogła go w haniebny humor wprowadzić. Na samą myśl o tem Gżyckiego ciarki przeszły. Poruszył się niecierpliwie, począł chrząkać. Na szczęście jednak Kurzbach nie dosłyszał piosenki. Uwaga administratora była w tej chwili czem innem zajętą, bo twarz jego nie zmieniła wyrazu, i duże pod krzaczastą brwią osadzone oczy, nie przestały wpatrywać się w pole buraczane.

Zalękniony Gżycki nie śmiał przerywać duchowej kontemplacyi administratora. Podjazd ruszył żwawiej. Niebezpieczeństwo minęło, mimo to śpiew dziewcząt odebrał mu chęć do dalszej rozmowy. Dłuższy czas jechali w milczeniu, bo i Kurzbach opowiadając się pędem, zamyślił się czegoś niezwykle.

Nie uśmiecha się już jak poprzednio,

tylko, zagłębiając całą postać w powozie pomrukiwał niekiedy do siebie:

— *So! So! fünf und zwanzig Jahren! So! So!*

W oddali zarysował się komin fabryczny. Z ceglanej szyi buchał kłęb ciemnego dymu. Przedwieczorny wiatr rozsnuwał na tle jesiennego nieba szarą flagę przemysłu. W powietrzu czuć było kopeć węgla kamiennego, odór wytłoczyn buraczanych i smarów. Ukazywały się niekiedy białe fontanny pary, coraz wyraźniej rozlegały się ostre echa: warczenie maszyn, szcęk łańcuchów, przeplatane przeraźliwym poświstem kotłów parowych.

Powóz wiozący administratora wjeżdżał na terytoryum fabryczne.

Nagle, milczący Kurzbach podniósł rękę, ukazując na dach jednego z domków robotniczych. Gżycki spojrzał. Na dachu siedział zakurzony popiołem kot. Przed domem stała wyrobnica w zwykłej odzieży, trzymając zamorusane dziecko na ręku.

— Widzisz *Gżicki*? — spytał Kurzbach.

— *Ja wohl* — odpowiedział oficyalista na chybił trafił.

— *Schmutzig! schmutzig! alles schmutzig!* W tym kraju nawet koty brudne! pfuj—zauważył lekceważąco Kurzbach i splunął.

Wyrzucona z gardziela niemieckiego ślina padła na ścieżkę wydeptaną stopami białych murzynów, idących właśnie na *fajerant* do cukrowni. Wszyscy odkryli z pokorą głowy, witając mijający ich pojazd.

Za chwilę stary szwajcar Pętak otwierał lewą ręką wjazdową bramę. Prawą urwała mu przed paru laty *centryfuga*.

II.

— Walu!

— Co mateczko?

— Kolacya gotowa a Janka nie wi-
dać. Już po dziewiątej—odezwała się
pani Olszyńska do krzątającej się przy
stole córki.

— To też nie czekajmy. Za karę
niech je sam — odrzekło dziewczę we-
soło, równocześnie podsuwając matce
półmisek.

Olszyńska westchnęła.

— Możeby posłać do fabryki... do-
wiedzieć się — zaczęła znowu.

— Jeśli mateczka chce, to każe Antosi, chociaż zdaje mi się, że dziś bez Janka będziemy się musiały obejść.

— Jakto? czyżby gdzie pojechał?

— Ależ nie! nie! mateczko... tylko... tylko...

— Mówże trzpiociel! Widzisz jakam niespokojna!

W błękitnych oczach Wali zajaśniał figlarny uśmiech. Podbiegła do matki, przytuliła główkę do zasepionej twarzy staruszki.

— Mamusia to mnie tak nie kocha jak Janka... Żeby mnie tak nie było, to nie... Ale gdy Janka braknie to mamusia zaraz... trapi się... martwi... nie je...

Słowa przeplatała całusami.

— Oj! ty! ty nie dobrego! — przerwała jej Olszyńska. — Zazdrośnico! Czeka! zaraz Jankowi powiem, jaką to ma dobrą siostrę — pogroziła żartobliwie.

Oblicze staruszki zaczęło się rozpo-gadzać. Wala chichotała w dalszym ciągu:

— Matuchno droga! serdeczna! Janek się teraz pewnie w najlepsze bawi... Przyjechał pan administrator... przy-jęcie... mówił mi pan Horst... Zapro-

szo no wszystkich urzędników... Przecież Janka nie pominęto! Ach! jak jabym chciała być choć raz na takim „szwajnfesćcie“! — dokończyła klaskając w dłonie.

W oczach Olszyńskiej pojawił się znowu niepokój. Spojrzała uważnie w ożywioną twarz córki; drżące usta wyszeptały:

— Oj dziecko! dziecko! co też ty wygadujesz!

Dolatujący odgłos kroków przerwał dalszą rozmowę.

Wala poskoczyła ku drzwiom. Uchyliła. Olszyńska drgnęła nerwowo.

— Janek! — wybiegło z jej ust.

Jakoż pochwili wszedł do pokoju Olszyński. Podszedł szybko do matki ucałował jej ręce, uściśnął siostrę.

— Przepraszam za opóźnienie. Zda wało mi się, że wcześniej skończę. Miałem dużo roboty w laboratorium — zaczął, zasiadając za stołem. — Mateczka niepotrzebnie czekała...

Słowom swym starał się nadać ton zwykły, mimo to jednak ucho matki odczuło w nich jakiś oddźwięk niezwy czajny.

Podniosła oczy. Twarz syna wydała się jej bladejszą, niż zwykle, a w głębi

jego oczu tkwił wyraz smutku i rezygnacyi, który daremnie ukryć się starał.

Sercem Olszyńskiej wstrząsnął ból. Przeczuwała coś złego, odgadywała, że przyjazd administratora, o którym wiedziała, że Janka nie lubi, gra tu poważną rolę. Przeraziła się i nie zwlekając dłużej, spytała trwożliwie:

— Co ci jest, Janku? mów! bój się Boga!

— Mnie? nic—odrzekł pospiesznie. — Spracowałem się, nic więcej. Walu! Proszę o herbatę — dodał, siłąc się na spokój.

Poczem poszedł do matki i jeszcze raz ucałował jej ręce. To jednak nie uspokoiło staruszki, przeciwnie, w duszy jej zrodziła się nieomal pewność, że jej ukochanego Jasia spotkało coś bardzo niemiłego. Łza zakręciła się w jej oczach, ujęła głowę syna w obie ręce, dotknęła drżącemi wargami jego czoła. Chciała o coś spytać, ale wzruszenie zatamowało jej głos! Po chwili dopiero zapanowawszy nad sobą, zaczęła:

— Myślałyśmy, żeś poszedł do administratora.

— Przecież dzisiaj przyjęcie dla wszystkich — wtrąciła pytająco Wala.

— Czyżby cię nie proszono? — spytała w dalszym ciągu Olszyńska.

— Owszem! owszem — podchwycił żywo — ale nie mogłem...

— To nie dobrze, Jasiu! — tonem lekkiego napomnienia zauważyła matka, lecz widząc na czole syna chmurę, dodała zaraz łagodniej:

— Zresztą ty wiesz najlepiej... moje dziecko...

I ręka staruszki przesunęła się znowu po jego czole.

Na obliczu Jana odmalowało się wyraźne zakłopotanie, kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, wreszcie w siwych źrenicach zamigotał błyskawicznie gniew i duma, i rzekł z naciskiem:

— Mateczko! Sługą Kurzbachów być *muszę*, ale gościem *mogę* nie być. Co ja bym tam robił za ich stołem! Olszyńskich z Kurzbachami może łączyć jedynie służba! Więcej nic!...

Uderzył dłonią w stół

Z rąk Wali wypadła trzymana filiżanka. Twarz dziewczęcia pokryła się przerażającą bladością, chabrowe oczy wyrażały ból i przestach, z piersi

wyrwał się spazmatyczny, zdławiony okrzyk...

Zatoczyła się i padła zemdlona.

Stało się to tak nagle, że Olszyńska w pierwszej chwili nie zdała sobie dokładnej sprawy z tego, co zaszło. Zostając również pod wrażeniem niezwykle ostrych słów syna, sądziła, że to prosty przypadek, wywołany roztrzęsaniem dziewczęcia. Więc nie podnosząc się nawet z miejsca, zaczęła półżartem, pół-seryo.

— Widzisz trzpiocie! widzisz...

Ale gwałtowny ruch Janka, który z wyciągniętymi przed się rękoma, w jednym skoku znalazł się przy siostrze, nie dał dokończyć staruszce zaczętego zdania. Struchlała, załamała ręce...

Jan tymczasem, uniosłszy głowę zemdlonej, jął machinalnie rozcierać jej skronie, rozpiął stanik, wreszcie otoczywszy ramieniem kibić Wali, próbował unieść ją z ziemi. Przerazenie obezwładniło go. Z wielką też trudnością udało mu się podźwignąć zemdloną i ułożyć na kanapce.

— Mamo! wody! — wyszeptał złamanym głosem.

Stojącej jak automat staruszcze łyzy puściły się z oczu, oprzytomniała jednak o tyle, że z pośpiechem spełniła zlecenie syna. Jan gorączkowo pochwycił podaną szklankę. Sprysnął raz, drugi na twarz chorej.

Wala otwarła oczy. Sekund kilka błędny wzrok dziewczęcia spoczął na twarzach klęczących przy niej: matki i brata, i znów niebieskie źrenice dziewczęcia zaćmiły się mgłą, bezwładne powieki opadły, pierś zadrgała nierównym szarpiącym odruchem.

Teraz troskiwość macierzyńska przewyciężyła osłabienie.

Staruszka porwała się z kolan i w mgnieniu oka, przyniósłszy flakonik z wodą kolońską, jąła rozcierać skroń i czoło chorej.

Po zbladłej, sztywnej twarzyczce Wali przemknął nikły obłoczek krwi, nabrzmiała na skroniach siatka sinych żyłek poczęła zwolna pulsować, rozchyliły się kurczowo zaciśnięte wargi.

Z piersi staruszki wyrwał się z głębokiem westchnieniem dziękczynny okrzyk:

— Boże! Boże! Walu! Waluniu!

Jednocześnie Jan, któremu wzruszenie odebrało mowę, podsunął do wpeł

otwartych ust Wali szklanę z wodą. Piła chciwie.

Złe miało. Sina bladość poczęła stopniowo ustępować. Drętwe powieki dziewczęcia osunęły się w głąb pod czoło, z pod rzęs wyjrzały załzawione już oczy, po twarzy przemknął błyskawiczny skurcz.

Przez chwilę, przez jedną bolesną chwilę zdawało się, że na nowo zapadnie, lecz nagle wyprężyła się całym ciałem, podniosła obie dłonie do błyszczących łez żrenic i ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła:

— Matuchno! Jasiu! Co się stało? Tak mi słabo...

Olszyńska wzięła córkę w objęcia, przytuliła główkę Wali do piersi.

— Dziecko kochane! Waluniu! Nic! nic... Już przeszło... Prawda? Upuściłaś filiżankę... Nic... nic... kochanko...

Z drugiej strony Jan, podtrzymując wpół trzęsącą się febrycznie kibić siostry, jął obsypywać pocałunkami jej ręce i mówił w przerwach z nieudaną tkliwością:

— Walu! Siostrzyczko! Zkąd ci się to wzięło?... Nastraszyłaś nas... Patrz! matuchna przy tobie i ja... Waluniu!

Na twarzy Wali przesunął się odcień uśmiechu. Pochwyciła rękę matki, przylgnęła lepkimi wargami, potem pochyliła się nad klęczącym przy kanapie Janem, przyłożyła główkę do jego czoła, potem znów do matczynej dłoni przypadła, aż wreszcie wśród tych uścisków wybiegło z jej piersi głośne łkanie:

— Co ja zrobiłam najlepszego!

Zamiast odpowiedzi, staruszka wpiła się pocałunkiem w twarz córki. Jan zaś, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zaczął zaraz, siłąc się na spokój, w żartobliwym tonie przedstawiać:

— Widzisz, Waluniu! A mówiłem! oj te gorsety! te gorsety!

W duszy jednak był zemdleniem siostry zatrwożony na seryo. Wala była kompleksy słabej, niezmiernie wrażliwa, i takie wstrząśnienie mogła przypłacić zdrowiem.

Z trwogą też myślał o przykrych następstwach, a równocześnie zastanawiał się nad przypuszczalną przyczyną niespodziewanej słabości.

Przyszło mu do głowy, że to może jego słowa, wyrzeczone o stosunku z Kurzbachami, były mimowolnym tego powodem.

— Przelekła się pewnie, że mogę miejsce stracić, tak postępując — rozważał, wpatrując się w tulące się do siebie matkę i córkę. I niewiadomo, dlaczego myśl ta czepiła się jego umysłu silnie. Daremnie jej się opędzał, wydała mu się najbardziej prawdopodobną.

Zdjął go żal. Uczuł nagłą potrzebę wynagrodzenia bezwiednie wyrządzonej przykrości.

Zrobiło mu się nad wyraz przykro, pożałował przedwczesnego uniesienia, słów wyrzeczonych, nie dlatego, żeby je chciał cofnąć, lub innemi zastąpić, lecz, że tak silnie odczute zostały przez te dwa serca najbliższe, najukochańsze, przez dwie istoty, których się mienił opiekunem i był nim w istocie.

Chłodny namysł bowiem nie pozwolił mu wątpić, że i matka odgadła znaczenie wygłoszonych przed chwilą wyrazów.

Dość było spojrzeć na twarz staruszeki. Była blada, w zmarszczkach i kątach ust rozsiadł się smutek i zastygł tam nie dającem się zatrzeć, mimo wysiłen, piętnem. Olszyńska z trudnością panowała nad cisnącemi się do ocz

łzami, daremnie starała się nadać obliczu pogodniejszy wyraz.

Wzrok matki, biegnący z córki na syna, świecił tęsknotą, przejmującym bólem i troską.

Właśnie, gładząc rozsypany w nieładzie płowy warkocz Wali, mówiła:

— Dziecko najdroższe! tyś się zalekła... ja wiem, Walu! tyś się musiała czegoś nastraszyć!.. Patrz, dziecko! Janek przy nas... przy tobie... trzpiot serdeczny! Nic nam się złego stać nie może ..

Słowa matki utwierdziły go w domyśle. Przerwał przeto z żywością:

— Tak! jestem przy was... i o ile to w mocy ludzkiej, nie rozstanę się nigdy... A tobie Waluniu! — zwrócił się do siostry — wydało się pewnie, że mam zamiar opuścić fabrykę? Nie! nie! A może cię serduszek zabiło, że nie poszedłem tam... do nich... Przypuszczasz może, dzieciaku, że przez to stracę ich łaski? że pozbyć się mnie będą chcieli? Upewniam cię, że tak źle nie będzie. Zapewne, że moja obecność w cukrowni jest im nie na rękę, lecz póki jestem potrzebny... Zresztą ręczę ci, że się nawet niebytnością mej osoby na za-

bawie nie martwili... A tobie przykro było, dzieciaku złoty! Przykro?!

Mówił to miękkim, ciepłym tonem, serdecznie, wpatrując się tkliwie w twarz Wali.

— Nie! nie! — zaprzeczyła w pierwszej chwili. Ale zaraz wyrwało się z jej piersi westchnienie i jakby w użu, pełnieniu ukrywanej dotychczas myśli dokończyła:

— Było mi przykro.. bardzo przykro.. Nie wiem sama, dlaczego... Jan-ku! a ty opuściłbyś bez żalu te... strony?—spytała nagle, płacząc zlekka.

— Skądże takie myśli? Waluniu — zauważyła Olszyńska. Jana zastanowiło to pytanie. Drgała w nim jakaś dziwna nuta, jakieś rozdwojenie między słowami a myślą, którą wyrażały. Odrzekł jednak szybko:

— Uspokój się, Waluniu! Mam kontrakt trzechletni, dobrze obwarowany. Do tego terminu nikt nas ztąd nie ruszy...

— A później... a potem?

Próbował się roześmiać.

— Walu! ależ to indagacya! Potem?.. Trudno mi być prorokiem... Trzy lata, to kawał czasu, siostrzyczko!

Poruszyła się niecierpliwie wyprostowała, potrząsała główką, i mrugnawszy figlarnie poczęła zwolna z robioną powagą:

— Tak zapewne... Trzy lata... w życiu człowieka...

A potem, zmieniając ton, rzuciła nagle:

— A Brzostowa nie byłoby ci żal, Janku?

Na twarzy Jana odmalowało się zdziwienie.

— Brzostowa? Brzostowa? — powtórzył. — Zkądże ci raptem Brzostów przyszedł do głowy, Walu?!

— Bo to przecież najbliższe sąsiedztwo naszej cukrowni!

Wracał jej zwykły figlarny humor. Roześmiała się, klasnęła w dłoń.

Jan sposepniał. Przelotna chmura niezadowolenia przesunęła się po jego czole. Po chwili dopiero, spoglądając na matkę, odrzekł wymijająco:

— Słyszysz mam! co ten pustak wygaduje?... Przed chwilą narobiła nam strachu... teraz zaczyna mówić od rzeczy... A cóż mnie tak dalece Brzostów obchodzi...

Olszyńska chciała się wmieszać do rozmowy, ale Wala podchwyciła żywo:

— Co? Wiemy coś o tem, braciszku! Niech mu mateczka nic nie wierzy... Już z Wandzią grają na *cztery* ręce—dogadywała, nachylając się do ucha staruszki.—Chodzą na spacer *bez cioci* Femci, a pan Bruzdowicz całuje Janka w same *czoło*... Ot to! — dokończyła, obejmując oburącz szyję Jana.

Odplącił jej uściskiem, roześmiał nawet, ale w oczach miał zakłopotanie.

Zawahał się. Nie chciał kłamać, a jednocześnie zapragnął uniknąć przedwczesnych zwierzeń.

W kątach ust jego pojawiały się odbicia wewnętrznego przymusu i skrepowania. Wysunął się delikatnie z objęć dziewczęcia, powstał i odszedłszy kilka kroków, westchnął z głębi piersi. Nie umiał udawać, widocznem też było, że radby był zmienić treść rozmowy. Zauważyła to Olszyńska, początkowo z dobrotliwym uśmiechem słuchająca szebiotki przychodzącej do siebie Wali i spojrzawszy znacząco na córkę, przerwała:

— Jaś zmęczony, potrzebuje wypocząć... A i ty, moje dziecko, lepiej, żebyś się wcześniej położyła. Osłabio-

na jesteś... Mnie również czegoś głowa boli...

Wstała, zabierając się niejako do odejścia. Chodzący dużemi krokami po pokoju Jan podszedł teraz żywo ku matce.

— Ma mateczka rację — zaczął — Wala niezdrowa... matuchna również jakoś mi niedobrze wygląda... Przytem... przypomniałem sobie, muszę jeszcze na moment wpaść do fabryki... Dobranoc!

To mówiąc, włożył kapelusz i skierował się ku drzwiom.

Z progu rzucił:

— Dobranoc! dobranoc! Proszę na mnie nie czekać. Za to jutro będę miał czas wolny, to pogadamy swobodnie o wszystkim, nawet o Brzostowie. Słyszysz, Walu!—dokończył weselej i znikł za drzwiami.

Matka i córka zostały same. Przez jakiś czas nie wyrzekły do siebie słowa. Olszyńska zamyślona, Wala zdetonowana niespodziewanem odejściem brata. Zwinęła się na kanapie w kłębek jak kociak, zrobiła nadąsaną minkę, wreszcie odezwała się bojaźliwie:

— Matuchno! Może się Janek obraził na mnie? Przecież nie powiedziałam

nic złego. To wszystko prawda... jak mamę kocham!

Olszyńska westchnęła.

— Jaś dziś trochę podrażniony... Zreszta to takie jeszcze dalekie rzeczy, moje dziecko, że lepiej o nich przed czasem nie mówić. W naszym położeniu mogą zajść nieprzewidziane zmiany... kto może przewidzieć, co będzie jutro?

Wala drgnęła.

— Czy może Janek już mamie co mówił? — spytała z przestraczem.

— Ależ nie! nie! Zajść jednak mogą okoliczności.. Janek miał zostać dyrektorem... Tymczasem...

— Tymczasem został nim pan Horst — podchwyciła Wala, z dziwnym odzieniem w głosie. Głos dziewczęcia nie zdradzał naturalnego żalu, przeciwnie, pojedyncze sylaby brzmiały nieomal radością.

Spostrzegła to sama. Wzdrygnęła się i z lękiem wstydliwym dodała zaraz:

— To niesprawiedliwie, mateczko.

Zajęta inną myślą staruszka, nie zaważywszy nienaturalnego zachowania się córki, westchnęła.

— Cóż robić, moje dziecko! Zawód to dla Jasia niemiałły. Spodziewał się... obiecywano mu... Ale nie mówmy o tem. Jesteś rozstrojona... Zanadto wszystko bierzesz do serca... To niedobrze Waluniu! Należy się zgadzać z wolą Bożą. Troska nic tu nie pomoże. Jaś przy swoich zdolnościach, prędzej czy później dobieje się stanowiska — pocieszała. — A dla mnie starej, byleście mi zdrowemi były moje dzieci!

Przy tych słowach trzęsącą się ręką, pogładziła twarz córki. Tej zaś dziwna żalność rozlała się w piersiach nagle. Chciała coś mówić, zwierzyć się z tem czemś, co na dnie serca zakiełkowało w tej chwili. Chciała, nie mogła. Bo oto równocześnie uczuła w duszy trwogę i bojaźń, co jej szczerość skrępowwały, jakiś podszept wewnętrzny, zawładnąwszy zrodzonem pod wpływem słów matki pragnieniem, doradził tajemnicę.

I z otwartych ust dziewczęcia, wybiegło tylko jedno słowo:

— Mateczko!

Powstała z kanapki, objęła szyję staruszki, przytuliła się nerwowo do piersi matczynych i wybuchnęła płaczem.

Olszyńska wzięła to za chorobliwy objaw rozstroju. Zaczęła też zaraz, uspakajając, zachęcać do spoczynku.

— Widzisz! widzisz Waluniu! Przejmujesz się niepotrzebnie — mówiła, trzymając szlochającą Walę w objęciach. — Uspokój się, dziecko moje!... Połóż się... zwiążę ci główkę... Zrób to dla mnie... Zobaczysz, wszystko będzie jeszcze dobrze. Tylko mi się nie martw, nie gryź... A teraz do łóżka... Zrobię ci lemoniady.. Masz widać dreszcze... Zapocisz się... Przejdzie...

Co mówiąc, pociągnęła skłaniającą się Walę ku sypialni.

Nie opierała się.

W parę minut potem z pod włóczkowej kołderki wychylała się ukradkowo, przewiazana białą, skropioną octem chustką, główka Wali, rzucając przenikliwe spojrzenie w stronę drugiego, stojącego przy przeciwległej ścianie łóżka.

Ztamtąd spoglądały z niepokojem oczy matki. Duże, siwe źrenice, łez pełne.

Zanim sen je skleił, staroświecki zegar gdański wydwoił północ.

Jana jeszcze nie było.

III.

Chłodne powietrze jesiennej nocy wracało Olszyńskiemu równowagę myśli.

Wychodząc, czuł się nad wyraz podrażnionym. Wzburzył go nawet naiwny szczebiot Wali, odczuwając i potęgując w Janie poczucie doznanego zawodu. Teraz refleksya zaczęła brać górę nad dorywczo napiętem wrażeń, rad też był przerwaniu rozmowy, która go rozgoryczyła jeszcze bardziej.

Uszedł kroków kilkanaście bezwiednie, kierując się w stronę fabryki. Przystanął.

Szkielet fabrycznego budynku jaśniał światłem. Pod ciemnem tłem nieba, rozwieszał się baldachim odblasków, bramowany kłębam i unoszącej się z rur i świstawek pary. Z nad kotłowni wystrzelał niekiedy snop wyrzuconych z palenisk iskier, szybował do pewnej wysokości i zajaśniawszy centkowaną łuną, gasł w ciemności. Płaskie, pociągnięte smołowcem dachy cukrowni, lśniły z oddali wilgocią i ściekającym z wyżyn opadem skroplonej pary. Z górnych pięter, przez

uchylone okna, widniały sylwetki półnagich robotników, stalowe tłoki, koła rozpedowe maszyn, migotały wirowo pasy transmisyjne, druciane liny elektorów i miedziane kopuły ustawionych rzędem aparatów.

A wszystko to oblewał chaos ostrego, ogłuszającego łoskotu, szczęku, gruchotu, trzasku, tępych poświstów, przez które przedzierały się z trudnością, stłumione echa głosów ludzkich i miarowy plusk płynącej nieopodal rzeki.

Wśród ciszy uśpionej przyrody, dzieło ludzkie — fabryka, zdawała się być kolosem żyjącym, którego wnętrze szarpie ból konwulsyjny. Dygotały kamienne żebra ścian, kadłub budowli to kurczył się w cieniu, to rozpręzał, rozrastał w strugach wylewającego się przez otwory drzwi i okien światła. Kolos dyszał ciężko, warczał, jęczał...

Olszyński oswojony był z tym widokiem. Od lat siedmiu pracował w cukrowni. Kiedyindziej byłby przeszedł obojętnie, nie zwracając uwagi, ale dziś... jakaś siła nieprzeparta pociągała do tego gmachu, który tylekroć widział, a który teraz dopiero

wydał mu się czemś więcej, niż wytworem ludzkich rąk i umysłu.

Oczu oderwać nie mógł. Patrzył z tą bezmyślnością, jaką wywołuje zwykle nadmiar cisnących się raptownie wrażeń. Szedł, przystawał i znowu szedł leniwym krokiem.

Od strony fabrycznego parkanu rozległ się odgłos kroków. Olszyński zawrócił. Nie życzył sobie spotkania z nikim.

Po chwili gromadka robotników miała miejsce, na którem stał poprzednio. Poznał ludzi z rafinerii. Szli już na północną „zmianę“. Rozmawiali.

— Psiakość! mówił jeden—straśnie cłeka ręce bolom od tej „*obsznajki*“. Skóra z palców złazi.

— Abo to „*apag*“ łżejszy — zauważył drugi.

— A już najgorzej to w tych „*grubach*“...

— A ino! a ino! Tydzień przerobiłem, to mi wrzodzionki na nogach powyskakiwały, Gdzie najciężej to cłeka pakuja.

A na ten przykład przy *filtrach*, przy *klarowce* to same *olendry*. Gdzie łżej, to zaraz śwab być musi.

— A ino! I płaca tam wyższa i odzienia nie nadrzesz i nie napracujesz się...

Poufne wynurzenia robotników odpowiadały analogicznie myślom Jana. Potakiwał im też w duchu, nasłuchując uważnie, nie tracąc żadnego wyrazu.

Uczuł, że mógłby o sobie powiedzieć toż samo, że na równi z nimi ma prawo do niezadowolenia, do upomnienia się za doznana krzywdę.

Uderzyła go przytem obfitość obcych wyrażen w prostej mowie ludowej. Dotychczas nie zauważył tego nigdy, a bodaj że nie zwracał na to uwagi.

Obecnie szepnął:

— Jak ci ludzie własną mowę kaleczą!

I krzywda wydała mu się jeszcze większą.

Tymczasem jeden z robotników zapaliwszy fajkę, mówił w dalszym ciągu:

— *Miemiec* spryśny, wszędy się wciśnie. Zresztą jakże ma być inaczej, kiej wszyćkiem rządzą same niemcy...

— Czy to nasi do tego niezdatni, czy co?

— Czy ja wiem! Widać.. skoro nawet

Olszyńskiego do rządów nie dopuszczają.

— E! e! — zaprzeczył, palący fajkę stary chłop. — I Olszyńskiemu niczego nie brakuje. Ale „stary“ ma kontrakt z hrabią, i syna na *derektorstwo* wepchnął.

— Szkoda! Z Olszyńskiego niezły szlachciec!

— Co nasz, to nasz...

Olszyńskiemu w piersiach wezbrało. Rozrzewniły go posłyszane słowa i pokrzepiły zarazem.

Był więc ktoś, co z nim współczuł, jego sprawę za słuszną uważał. Otucha wstąpiła w jego serce, a jednocześnie wzrok padł na bielejące w oddali ściany pałacyku, w stylu włoskim.

Była to siedziba Kurzbachów, ojca i syna, prywatne mieszkanie zarządu.

Przez konary drzew, otaczających kępami pałacyk, przelewały się strumienie migotliwego światła.

Cały dół, gdzie administrator zwykle stawał, jaśniał rześście. Z miejsca, na którem stał Olszyński, widać było wnętrza salonów. Olszyński znał przeto rozkład pałacu. Podszedł, wsparł rozpaloną głowę o żelazne sztachety,

otaczające dziedziniec, i instyktownie ją śledzić oczyma.

Administrator przyjmował swych podwładnych.

W pierwszej niedużej salce, siedzieli za stołem, okrytym kolorową w deseń serwetą, dozorczy fabryczni. Przed każdym stał olbrzymi kufel, w pośrodku stołu umajona gałązkami świerczyny beczka. Najbliżej siedzący beczki dozorca z kościarni Helmut Strübing, napełniał podawane przez towarzyszy od czasu do czasu kufle. Robił to z namaszczeniem i wprawą. Za dotknięciem jego ręki, mosiężny kran tryskał brunatnym płynem, równocześnie w kilka podstawianych naczyń.

Musiało być wesoło.

Oblicza biesiadników błyszczały, trzęsły się podbródki, roztwierały szeroko usta. Stukali wypróżnionymi kufkami w stół, prztykali w palce, kołysząc się na krzesłach. Niekiedy zrywały się ocieężałe postacie jak na komendę... Rozlegał się brzęk trącanych zamasyście szklanice, usta rozchylały szerzej. Poczem cichło wszystko na sekund parę... Biesiadnicy w stojącej podstawie, unosili demonstracyjnie w

górze puste naczynia, Strübing znowu przeginał nad stołem, dosięgając beczki. Ruch ten witali współ-towarzy-sze szmerem radości i donośnym gardlanym śmiechem.

Bawiono się *gemütlich*.

W drugim salonie za podobnie nakrytym stołem siedział sam administrator, mając po prawej ręce syna, po lewej ustępującego z posady dyrektora Wachtmana. Dalej kolejno urzędnicy administracyi i kilku oficyalistów cukrowni, Niemców.

Olszyński rozpoznawał wszystkich. Nikogo nie brakowało, z wyjątkiem będącego na nocnej służbie „zmianowego“. Prócz siedzącego na szarym końcu Gzyckiego i chemika Słodowskiego byli to sami Niemcy. Więc główny buchalter Liebstore, kasyer Eberwald, „maschienmeister“ Knotz, starszy „zmianowy“ Biertens, dwaj magazynierzy bracia Lautholmy, „pakmajster“ Schulz i trzech młodszy praktykanci, świeżo przybyli z Brunświku, kuzyni Kurzbachów, których Olszyński osobiście nie znał.

I tu, podobnie jak w pierwszej sali, panowała ochoczość.

Otyła, ogolona twarz starego Kurzbacha, rozpartego w miękim fotelu, lśniła zadowoleniem i pychą.

Wodził wzrokiem po obecnych, klepał siedzącego obok syna po ramieniu, śmiał się, lub rubasznym ruchem zachęcał innych do picia. Sam też chwycił wówczas za płaski z zielonego szkła kieliszek i wychylał do dna. Poczem cmokał mięsistemi wargami, lubując się smakiem kwaskowatego „Mosel“, którego kilka butelek stało na pogotowiu przy jego nakryciu.

Musiał już pić dużo, bo chwilami przymykał powieki, głowa opadała mu bezwładnie na piersi — drzemał. Wtedy Liebstore na jednym a Gżycki na drugim końcu stołu, przybrawszy poważną minę, uciszali kompanię. Milki pogwar, przerywano ożywioną rozmową, każdy nieomal zastygał bez ruchu na swem miejscu, póki drzemiaący Otto Kurzbach, rozbudzony silniejszem potarciem podbródka o sfałdowany gors koszuli, nie otworzył oczu.

Widok spanoszonego przybysza w otoczeniu całego sztabu, łaszących się na skinienie podwładnych, przejął rozgoryczonego Olszyńskiego wstrętem. Zatrząsł się, gorączkowo targnął

kratą sztachet. Bo oto w tym momencie przesunęła się mu w pamięci słyszana przed chwilą rozmowa robotników, przypomniwały się wydarzenia dnia: stroskana twarz matki, zemdle nie siostry i jeszcze inna postać kobieca, o piwnych, głębokich żrenicach, pociągłej regularnej buzi, spłoty ciemnych pukli i rączka drobna, biała, którą z taką miłością do ust swych nieraz podnosił. Wspomniął przebyte w cukrowni lata pracy i wysiłku, cel do którego dążył...

Wszystko odżyło w nim w tej chwili i zdawało się mówić:

„Patrz! tam twoi krzywdziciele! Pożeracze twojej pracy, burzyciele spokoju, zawady szczęścia! Ci... obcy!“

Nagle, jakby dla większego jeszcze kontrastu, rozbrzmiał entuzjastyczny okrzyk kilkunastu głosów.

Uszu Olszyńskiego dobiegło gromkie:

— *Hoch! Hoch! Es lebe! Prosit!*

Pito z hałasem zdrowie administratora.

Dozorcy, biesiadujący w pierwszej sali, tłoczyli się teraz z podniesionymi w górę kuflami do stołu administratora, otoczonego przez dopuszczo-

nych do bliższej kompanii gości. Wszyscy stali, pokrzykując wesoło, kolejno podchodząc do amfitryona, trącąc w jego kieliszek.

On powstał również. Wsparty o poręcz krzesła mówił, dziękował za toast, poczem ukazawszy na syna, przedstawiał go widocznie w nowej roli dyrektora, bo otaczający zaczęli się cisnąć z kolei do młodego Kurzbacha.

Ten zaś, stojąc przy ojcowskim krześle, rozpromieniony, z dumnie odrzuconą w tył głową, kłaniał się od czasu do czasu i ścisnął wyciągane ku sobie dłonie. Przystojny blondyn, z rozczesanemi przez środek głowy włosami, z konopiastym zakreconym w górę wąsem, z twarzą owalną ze śladami szram od rapirów, przytem dobrego wzrostu, choć mimo młodego wieku, otyły, miał w dużych błękitnych oczach coś sentymentalnego i junackiego zarazem, w całym wyglądzie i układzie nieutemperowaną jeszcze rubaszność bursza.

Przyjmował powinszowania jako należny dank, z poufałością popularnego zwierzchnika, ale i z zacięciem wyższości i pewności siebie. Żadnej z wyciągniętych dłoni nie pomiął, każdą

uściskał, ale nie było w tym uścisku wylanej serdeczności, tylko obojętna zimna grzeczność, sztywne wyrachowanie.

Nawzajem i z zachowania się otoczenia, pomimo podniecającej atmosfery, przebijały służbistość i karność, ujmujące niejako w przepis rygoru, ową pozorną „*gemütlichkeit*“.

Nawet w entuzyastycznych: *Hoch!* i *Prosit* czuć było mustrę, której indywidualny zapach poddano.

Była w tej fali głosów siła zwartej kolumny, tętno zjednoczenia, drgnień zbiorowych, wyrzucanych z piersi na komendę, pod miarę, pod szafunek; w ożywionych ruchach ustopniowana jednolitość, bezwiedna łączność masowa, trzymająca wszystkich na wodzy, niedopuszczająca zbytnich nad rachunek porywów.

Instykty rasy odzwierciadlały się nawet w zabawie.

Olszyński dość miał tego widoku.

Wśród natłoku myśli, jedno wiedział tylko jasno, że był bezsilnym, odosobnionym pionem na tej szachownicy, którą obcy żywioł zajął, owładnął i niepodzielnie dzierżył.

Uczuł się złamanym i zniechęconym do dalszej walki, rozżalonym na los własny, który mu jej podjęcie nasunął.

Jakoż, wracając wolnym krokiem ku domowi z mocnem postanowieniem porzucenia niewdzięcznego posterunku, rozważał:

— Nie mam tu dłużej co robić. Hrabia nie ma zaufania do swoich, lub siedzi w kieszeni Kurzbacha. Poparcia znikąd nie znajdę, będę się truć lata całe bezowocnie. Przypuśćmy, że „stary” ustąpi, to Horst zajmie wtedy jego miejsce... A ja? ja będę wiecznie popychadłem w ich rękę. Trzeba mi będzie tylko matkę i Walę przygotować... i...

Na tę myśl ogarnął Olszyńskiego żal. Wobec czynionych mu obietnic i zapewnień mimowolnie wpoił w obie kobiety przekonanie, że przełamie wszelkie zapory, hartem woli i pracą zdobędzie stanowisko, które nietylko za dostatni kawałek chleba, lecz i za odzyskaną na nieprzyjacielu placówkę uważał. Nieraz w rozmowach z matką dowodził z zapałem, że jedynie brak wytrwałości i pożądlivość zdobycia odrazu wielkich rzeczy, tak często w naszym społeczeństwie napoty-

kane, ułatwiają drogę przybyszom. Matka słuchała, przejęta wiarą, że jej Jaś właśnie te wyjątkowe zalety posiada. Nie wątpiła też nigdy, widząc pracę i zamięłowanie zawodu syna, że jeżeli kto, to on, nie cofnie się w pół drogi, nie ulegnie trudnościom. Patrzyła więc z ufnością w przyszłość, niejednokrotnie słowem otuchy łagodząc drobne przykrości i zachęcając Jana do wytrwania.

I dziś przeczuwał, że się spotka z delikatnym oporem matki, z przypomnieniem słów własnych, którym smutna rzeczywistość przeczyć nakazywała.

Zawahał się, i jał pytać samego siebie, czy mu się godzi tak raptownie burzyć spokój dotychczasowy matki, podcinać zaszczerpioną w jej piersiach nadzieję, a równocześnie i w jego duszy zaczął się rodzić bunt jakiś, przeciw powziętemu przed chwilą postanowieniu.

Jakiś głos wewnętrzny począł mu teraz szeptać tchem gorączkowym, niedającym możliwości rozgatkowania myślowych pobudek:

— Nie! nie! tyś tu zostać powinien. Tu cię rzucił nie los ślepy, lecz prze-

znaczenie, czuwające nad dolą każdej jednostki. Tyś tu zostać powinien dlatego i właśnie dlatego, że nikogo więcej, prócz ciebie, niema, że sam jeden sterczysz jak pal tamowy, wśród zalewu obcych żywiołów.

Palilo mu się teraz w głowie. Na czoło wystąpiły sine pręgi wibrujących naprężonymi nerwami żył.

Nacisnął skronie. Przerzucona z krańca w kraniec myśl, wydobyła się gwałtem na usta.

— Prawda! — rozmawiał z samym sobą — powinien zostać. Powinienem... Tego-by im potrzeba było, żeby mnie wyrugowali...

Zaciał zęby, zaśmiał się gorzko.

— Także im chciałem na złość zrobić. Dopiero-by Kurzbach zacierał ręce z radości, pozbywszy się mej wstrętnej osoby. Już to miłujemy się wzajemnie... tylko że ja...

Chciał powiedzieć: „mam prawo do nienawiści“, i jakby nie był pewnym tego prawa, jał pamięcią szukać dowodów uprawniających wrogie uczucie.

I znowu jakiś głos wewnętrzny niósł mu w odpowiedzi:

— Masz! masz! za kęs chleba wydzierany przebojem, za grosz wyci-

śnięty z tej ziemi a uwożony na obczyznę; za wzgardę dla plemienia, z którego potu, gwałt najeźdźnika, tem sroższy, że osłoniiony przyłbicą cywilizacyi, czerpie sok żywotny, za ucisk słabszych; za butę i hasła jaszczurcze...

Przed oczyma Olszyńskiego przesuwają się, jak żywe, przybladłe, zapracowane postacie robotników, ich twarze, wyssane gorącym fabrycznem, policzki zakłęśnięte, nagie piersi i ramiona, a wśród nich upasione, czerstwe, uśmiechnięte figury obu Kurzbachów i całego grona ucztujących w włoskim pałacyku cywilizatorów polskiego chłopca.

I niewiadomo, dlaczego w tym kalejdoskopie odtworzonych wyobrażeń osób, przesunęła się również, okryta mgłą zemdleń, twarz Wali i dwór brzostowski i lipa z darniową ławeczką w okół pnia, na którym ktoś wyrzeźbił dużemi literami „*Wanda B.*“

Ten ktoś musiał być Olszyńskiemu bardzo blizkim i bardzo drogim, bo w zasepionych oczach zajaśniał mu nagle błysk radości.

— Zostanę—postanowił nieodwołał.

nie, wchodząc na palcach do mieszkania.

Matka i siostra spały,

IV.

Nazajnt rz było święto, dzień przeznaczony w fabryce na „wysładzanie,” oczyszczanie naczyń i przyrządów. Czynność ta wykonywana przez połowę zwykłej liczby robotników, nie wymagała zbyt wielkiego dozoru.

Olszyński, nie potrzebując iść do cukrowni, przepędzał zazwyczaj dni świąteczne w domu, lub wyjeżdżał do państwa Bruzdowiczów do Brzostowa. Wypoczywał też dłużej, zwłaszcza, że wieczór sobotni przepędzał zwykle nad szczegółowem obliczeniem całotygodniowego przychodu cukrzycy i oznaczeniem przeciętnej cukrowatości przerobionych buraków.

Tego dnia, po kilkogodzinnym zaledwie spoczynku, zerwał się wyjątkowo wcześniej. Odbiegł go sen, choć czuł się zmęczonym i nieswoim.

Zajęta przygotowaniem śniadania

Olszyńska, zdziwiła się, ujrzawszy syna na nogach.

— Dzień dobry mamie — zaczął całując ręce staruszki. — Jakże się ma Wala?

Śpi jeszcze. Chwała Bogu, gorączki nie ma... Zdaje się, że to było zwykłe osłabienie, a może i trochę wzruszenia. Wrażliwa jest bardzo.

— Bardzo. Zauważyłem to nieraz. Egzaltuje się, przejmuje lada drobnostką. A mateczka jakże się czuje? — zapytał.

— Dobrze... Zupełnie dobrze — podchwyciła żywo. — Co tam mnie starej potrzeba...

Zaczęła rozlewać herbatę.

Zasiedli do śniadania Sama Olszyńska jadła mało, ale Janowi raz po raz podsuwała, to chleb, to masło, to sucharki, zachwalając i zachęcając. Brał z talerzyków machinalnie, jadł, ale widocznem było, że nie ma apetytu, przymusza się, jedynie przez wzgląd na matkę.

Wreszcie odsunął nakrycie, podziękował, pochodził chwil kilka po pokoju i spojrzawszy przez okno rzekł:

— Dzień piękny. Możeby panie prze-

jechały po obiedzie do Brzostowa? Wala się rozerwie...

— A ty? — rzuciła niespokojnie matka.

— Ja? nie wiem jeszcze. Może coś wypaść niespodzianego. Administrator może mnie potrzebować. Ale będę chciał... będę chciał...

Podeszła i pogłodziła go po czole.

— Bez ciebie, Jasiu, byłoby nam niejako—przemówiła, patrząc mu w oczy.

— Obowiązek przedewszystkiem — podjął, zdobywając się na ton weselszy. — Przypuszczam jednak, że będę mógł paniom towarzyszyć. Zajdę teraz do fabryki, wywiem się. Zadysonuję konie na godzinę... trzecią... Dobrze? trzecią... Niech tylko Wala nie marudzi z ubraniem.

Zabierał się do wyjścia. Olszyńska zaczęła niby uprzątać ze stołu, w rzeczywistości jednak przedstawiała tylko talerze i szklanki z miejsca na miejsce, nie spuszczając z syna wzroku. Pozornie spokojną staruszkę w głębi duszy gnębiła niepewność i niepochwytne przeczucie czegoś złego; gryzła ją troska o los Jana, a choć tała zmartwienie, nie śmiejąc po prostu zapytać, co dalej począć zamierza,

niemniej oczekiwała z utęsknieniem, aby sam na ten temat wszczął rozmowę.

Wówczas, bez narzucania się, mogłaby wyjawiać swe zdanie, doradzić lub odradzić, jeśliby działając pod wpływem chwilowego uniesienia, zamierzał uczynić krok niewłaściwy.

Uprzedzać tej chwili nie chciała, wiedząc, że Jan bezwzględnie zwróci się do niej o radę, wolałaby jednak, aby się to stało rychlej, prędzej, jeżeli ostatecznie stać się miało. Jakoż już od czasu przyjazdu administratora, zdawała się chwytąć każdą sposobną ku temu okoliczność, aby tylko wyjść z trapiącego kręgu wątpliwości.

Ostatecznie, nie mogąc dłużej utrzymać na wodzy zrodzonych z troskliwości macierzyńskiej pragnień, zdecydowała się na krok stanowczy.

Jan brał już za klamkę, kiedy, poprzednio obejrzawszy się w okół, znalazła się przy jego boku.

Pomarszczone ręce matki, spoczęły na ramionach Olszyńskiego. Przyłożyła usta do jego czoła. Gorący, nierówny oddech, musnął twarz Jana.

— Moje dziecko! moje dziecko!.. —

wybuchnęła silnie, naciskając siwą głowę pierś syna.

A było w tym krótkim wykrzykniku, tyle troski, taka łzawa wymowa zbolełego serca, taki dźwięk zatarganych niepokojem najtkliwszych uczuć, że Olszyński nie potrzebował pytać — domyślił się wszystkiego.

— Al. mamó kochana! niechże się mateczka o to nie frasuje! — jął uspakajac, niedomawiając całości zdań. — Stało się.. Sprzątnęli mi dyrektorstwo z przed nosa... trudno! Nie odrazu Kraków zbudowano... ale że mnie się z fabryki prędko nie pozbędą, za to ręczę. Bodaj, że to nawet mieli na celu... Myśleli, że się zrażę.. usunę.. A ja, powiadam mateczce — nie wziąłem tego nawet tak dalece do serca... No! obejść... obeszło mię zapewne... Człowiek, człowiekiem, ale już to samo, że nie jestem im na rękę, cieszy mię i zachęca do wytrwania.

Powtarzał przetrawione w nocy myśli, głosem pewnym, stanowczym, jakby nigdy inny zamiar nie powstał w jego głowie.

Olszyńskiej ciężar spadł z serca. Uśmiechała się tylko przez łzy, nie nie mówiąc, Jan zaś kończył:

— Muszę się tylko teraz podwójnie pilnować w obowiązkach. Gotowi z byle protektu skorzystać. Właśnie dlatego idę do fabryki, choć wiem z góry, że tam moja obecność dziś niekonieczna. Ale po południu postaram się być zupełnie wolnym i będę służył do Brzostowa...

Obsypał ręce matki pocałunkami.

— A może to nie dobrze Jasiu — zauważyła nieśmiało — żeś w przyjęciu u administratora nie uczestniczył?...

— Zapewne — odrzekł po chwilowym namyśle. — Należało się przełamać i iść. Nie zastanawiałem się w pierwszej chwili. Oczywiście, postaram się załatwić sprawę. Przy sposobności znajdę jaką godziwą wymówkę.

Wziął za kapelusz.

— A i z Gżyckim bądź grzecznie. To figura! — przestrzegła jeszcze.

— Wiem! wiem!.. Ich kreatura! A kto na przedpieklu mieszka... — rzucił na wyjściu ze śmiechem i ruszył szybkim krokiem ku zabudowaniom fabrycznym.

W drodze spotkał idącego do laboratorium Słodowskiego.

Powitali się.

Pocziwą, pucłowatą twarz chemika, przebiegł wyraz zakłopotania.

— Kolega do pracy? Jak też polaryzują buraki z Brzostowa? — spytał od niechcienia Olszyński.

Słodowski potrząsł głową przecząco i zaczął mówić z jakimś nieusprawiedliwionym pośpiechem:

— Nie! nie! Wyszedłem się tylko przejść, bo mię czegoś łeb boli, ale do fabryki nie idę. Fo co?

Zdjął czapkę, potarł krótko przystrzyżoną czuprynę i jakby sobie dopiero co przypomniał drugą połowę pytania Olszyńskiego, dodał:

— A! o buraki z Brzostowa pyta-cie? Dokładnie nie pamiętam. Ale dobrze... dobrze. Coś siedemnaście *Brixa*, a czternaście z dziesiętnymi cukru...

Mówiąc to, nie patrzył na Olszyńskiego, tylko na czapkę, którą dotychczas trzymał w ręku i miał ją, pociesznie wykręcając na wszystkie strony. Wydawał się strapionym, jakby niezadowolonym ze spotkania.

Olszyński uczuł się takim zachowaniem chemika niemile dotkniętym, tem więcej, że Słodowskiego za prawość charakteru i pracowitość cenił wysoko. Mając nabita głowę wypadkami dnia wczorajszego, jał przypuszczać

że niełaska administratora oddziaływała na otoczenie, i że wpływowi temu uległ nawet Słodowski.

Jakoż uśmiechnąwszy się kwaśno pod wąsem, przyśpieszył naumyślnie kroku, rzuciwszy zimne „do widzenia z panem“...

Lecz Słodowski, który zdawał się myśli zbierać, w moment znalazł się przy nim i chwyciwszy za rękaw pal-tota, zatrzymał. Olszyński zaszepiony przystanął. Słodowski jął coś niewyraźnie mruczeć pod nosem, przestępując z nogi na nogę, wreszcie z wybitnem zafrasowaniem rzekł, ujmując Olszyńskiego za rękę:

— Chyba wierzycie — panie Janie! żem wam jest szczerze życzliwy?..

— Cóż znowu? — przerwał Olszyński.

— Wierzycie? to nie gniewajcież się że powiem, co mam na wątróbce. Drag jestem! prostak! cham! chłopski syn! ale jak Boga kocham! łąć nie umiem! a co czuję, tnę prosto z mostu!

— Do czegoż zmierzacie?—zagadnął Olszyński.

Chemik znów potarł czuprynę, przesunął ręką po okrągłej twarzy, szyb-

kim ruchem nasadził zmiętą czapkę na głowę i wybuchnął:

— Wiecie? Jak się na to wszystko patrzy, to człowieka zbiera chęć klnać od rana do wieczora! Jak Boga kocham! ale wy, toście źle zrobili, nie przychodząc wczoraj...

Ukazał w stronę pałacyku.

— Albo co? — bąknął Olszyński z pozorowaną obojętnością.

— Trza było iść — ciągnął Słodowski, zatrącając z mazurska. — Nie gniewajcie się, ale trza było! Darujcie, że to mówię... starsi jesteście... mądrzejsi, ale jak Boga kocham! ja na waszem miejscu właśniebym przyszedł... Na złość!

Olszyński zaczął się śmiać oczyma, Słodowski zaś wymachując rękoma, mówił z coraz większym ferworem:

— Wierzajcie! U mnie to tak... Szel-mę zwącham o sto kroków... Jeśli mogę, to go zaraz za łeb cap! i o ziemię, a jak nie, to czekam. Czy myślicie, że mnie tam z nim przyjemnie było? hm! Jak Boga kocham, plunąć. Mam *katzenjammer*, tu i... tu — ukazał na głowę i piersi. — Ale co robić? Wlaż! złeś między wrony, krakaj jak i ony... inaczej ciebie zakraczą! Wiecie co? pa-

nie Janie! wy szlachta, gniewajcie się... ale wy z nimi nie umiecie... Wam, jeszcze na wsi siedzieć, na zagonie uprawnym panować, na swobodzie! Tam potraficie walczyć i zwyciężać, ale tu zawsze was te przybłędy zjedzą... zniechęcą... obrzydzą zawód... boście za uczciwi! a może i za honorowi. Macie jedną tylko miarę, jak pręt do morgi, i wszystko nią mierzyć chcecie. Po staremu pługiem w skibę i jazda, przez życie! A tu, panie, świat inny... oskararów trzeba, nie lemiesz...

Rozgadał się na dobre. Olszyński milczał, nie przerywając.

— Zetrze wam się lemiesz, zeskibi... Natraficie na głaz i halt! A tu trza pług w garść i w górę, przenieść i ryc dalej, bo to nowizna, co krok, to korney, pałyga, krzemień... Prostej skiby nie wyorzesz! a i ręce, i tu za-boli...

Wskazał na serce.

Olszyńskiego zaczęły brać te słowa. Przyznawał im wiele racji i potakiwał w duchu. Istotnie, na tej „nowiznie,” jak Słodowski przemysł nazwał, za du-
żo spotykał zawał, za wiele przeciwności, nie chciał się też zapierać przed samym sobą, że wolę i chęć wyszczer-

bił. Niemniej jednak nie czuł się winnym i dlatego, spojrzawszy w ruchliwą twarz chemika, rzekł:

— Wszystko to prawda, ale do krzywizn nie jesteśmy... ja przynajmniej, nie jestem stworzony.

— Ani ja! — pochwycił Słodowski z żywością. — Można jednak prostować dotąd, aż się wyprostuje. Można za-jeżdżać z tego i z tego boku, póki nie będzie jak strzelił! Tylko, że trza czasem i karku nagiąć! A wy...

Zapalił się.

— Jest nas właściwie trzech w fabryce. Wy, ja i Gżycki... O Gżyckim nie mówię, to jucha! lizus... łyk, gibki jak wąż... wkręcił się, siedzi i dobrze mu! Tego nie liczę.. Szołdra! Ale... nie gniewajcie się!.. ja... chłop jestem... drag zwyczajny — wygłosił z naciskiem — gdzie mi tam do was! a niech mię dyabli porwą, jeśli tych szwabów nie przetrzymam. Jem z nimi, piję, umizgam się jak muszę.. Wiecie? wczoraj pili moje zdrowie! A ja... znacie mię przecież, że lubię prawdę ciąć od ucha, a jednak... palnąłem im mówkę na podziękowanie... jak Boga kocham.

Olszyńskiego, pomimo wszystkiego, zdjął śmiech. Lubił prawdziwie tego

„draga,“ jak się sam Słodowski rad przeżywał, więc choć w pierwszej po powitaniu chwili podrażniło go nieco zakłopotanie chemika, obecnie na skutek prowadzonej rozmowy, uczuł tem większą sympatyę dla tej prostej mazurskiej natury, chytrej i nieufnej dla obcych, a wylanej do głębi dla swoich. I z serdecznością uścisnął rękę chemika.

Ten zaś bicząc uśmiech za objaw niedowierzania, mówił, zaprzysięgając:

— Jak Boga kocham! palnąłem... Co mi to szkodzi... Popłukałem piwem. Wszystko spłynęło do żołądka i dobrze, Co mi to szkodzi?

Olszyński, który się dotąd jeszcze hamował, roześmiał się teraz na cały głos. Zaraz jednak spoważniał i kładąc rękę na ramieniu towarzysza, spytał:

— Wszystko to dobrze, panie Stanisławie... ale dla czego mi to mówicie?

Słodowski przymrużył oczy, jakby go światło raziło, parę razy wargami ruszył, a potem jednym tchem, dobitnie, a tak szybko, że słowo zlewało się ze słowem, rzekł:

— Bo chcecie rzucić posadę...

Odetchnął i spojrzał bystro, oko w oko Olszyńskiemu. Ten odstąpił krok w tył, skrzyżował ręce na piersiach, wpatrzył się całą pełnią źrenic w zafrasowaną twarz chemika.

— Nie mam tego zamiaru. Chcę tu zostać — przemówił po chwili. — Chcę zostać z wami — powtórzył z naciskiem.

Słodowski zawisł mu u szyi i już nie mówił, ale raczej wypychał z siebie wyrazy, trzęsąc się i podrygując:

— Naprawdę! naprawdę?! A niechże mię kaczkę zdziobią, że myślałem inaczej. Darujcie! Więc naprawdę zostajecie? A ja osieł!.. osieł!..

Odskakiwał i przyskakiwał, puszczał Olszyńskiego z objęć i brał na nowo, a wołał:

— Cymbał! cymbał jestem! Jak nawet mogłem myśleć inaczej? Cymbał! Darujcie... Więc zostajecie! zostajecie!

Nie potrzebował mówić, „jak to dobrze,“ bo całym zachowaniem się dowodził, jak wielką radość sprawiała mu ta wiadomość.

Olszyńskiemu zrobiło się w oczach mokro. Nie mógł jednak w pierwszej chwili przyjść do słowa, i podziękować za objaw prawdziwej życzliwości, więc odwzajemniał się tylko uściskiem; dopiero, kiedy Słodowski wzruszony, zziąjany, mówić przestał, zaczął:

— Dziękuję wam serdecznie, panie Stanisławie. Zkądże jednak przyszłście do takiego wniosku?

— Bo... bo... widzicie — odpowiedział trochę zmieszany Słodowski — skoro was nie zrobili dyrektorem... Zresztą — dodał śmielej — nie byliście na „szwajnfesćcie,” więc...

— A może o tem co mówiono? — przerwał Olszyński...

— Głośno nie... ale w duchu tak sądzili wszyscy, a ja z nimi... cymbał! Laubholm plótł nawet, że upatrzono już następcę na wasze miejsce...

Olszyński ściągnął brew.

— To się grubo zawioda...

Słodowski zatarł ręce.

— Minie ich *jubel*, minie!

— Mam kontrakt — napomknął Olszyński.

— Właśnie... właśnie...

Rozmawiali tak idąc zwolna. Zegar fabryczny wydzwonił dziesiątą.

— Muszę was pożegnać. Wybieram się do miasta... Chciałbym być na nabożeństwie — odezwał się Słodowski, kiedy się znaleźli w pobliżu bramy.

Olszyński podał mu rękę.

— Do widzenia!

— Do widzenia! — odpowiedział chemik, nie puszczając podanej ręki. Zrobił ruch, jakby chciał już odejść i zatrzymał się.

— Jeszcze słówko — rzekł — tonem prośby.

— Służę wam. O cóż idzie..

— A to chciałem was przeprosić — wybuchnął Słodowski — przeprosić.. Ja was nie doceniłem.. Jak Boga kocham! wstyd mnie teraz... Zdawało mi się: — przejadło mu się ze szwabami, plunie na wszystko i pójdzie! Zwyczajnie szlachcie! zrazu choćby w ogień.. ale — jak nie idzie... to już po krzyku! W dodatku myślałem sobie, że waszym paniom, pannie Walentynie — wycodził nieśmiało — przykrzyć się musi w tej dziurze...

— Gdzież-tam!--pochwycił żywo Olszyński. — Przeciwnie! Wczoraj rozmawialiśmy właśnie na ten temat... Ot tak! zgadało się coś... I matka i Wala, a zwłaszcza Wala, tak się przy-

zwyczały do tej „dziury,” jak mówicie, że w razie czego... byłoby im żal niewymownie. Popłakały się na samą myśl... Wala nawet...

Nie zdołał skończyć, bo już Słodowski siedział mu u ramion i dusił poprostu w objęciach. Napadł go świeży paroksyzm radości. Poczerwieniał jak burak, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zaczęły chlipać, z ust wybiegało raz po raz:

— Jak Boga kocham! Jak Boga kocham! Poczciwości!.. Zacności!.. Stopy całować! Jak Boga kocham!

W rozmachanych tych słowach brzmiała jakaś dziwna nuta: wesela i pokory zarazem.

Umitygował się wreszcie i jakby zawstydzony tak obcesowym wybuchem, jał zniżonym głosem bąkać:

— Ot! chłop... Ot! chłop... Wbijcie mię na rożen, inaczej nie umiem... Prostack... Jak się z czego cieszę... tobym tańczył! śpiewał!.. choćby na środku rynku... Klaskał jak dzieciak do świecidła!.. Nie wypada... wiem.. ale gadaj tam chłopu! jak mu tu wzbierze...

Uderzył się w pierś z całej siły i odwróciwszy raptem, nie żegnając już

Olszyńskiego, począł iść szybko, jakby od czegoś uciekał.

Olszyński stał chwilę zadziwiony, patrzając za odchodzącym. Widział: Słodowski czapkę na głowie miętosił, rękoma po twarzy przesuwając i biegł prawie, gestykulując zawzięcie.

Zdawało się Olszyńskiemu, że słyszy z oddali wylatujące z ust chemika: „chłop! chłop! gdzie mnie się równać z nimi, chłop! chłop!“

I pomyślał ze wzruszeniem, wchodząc w obręb zabudowań fabrycznych, że, jednakowoż, ten chłop, to szczere złoto!

Na wstępie spotkał idącego do warsztatu „maszyn-majstra,“ Knotza. Maszynista, bądź co bądź podległy wicedyrektorowi, witał Olszyńskiego zawsze nader uniżenie. Dziś zobaczywszy Jana, uchylił zaledwie skórzanej czapki i rzuciwszy przeciągłe: *Morgen* — poszedł obojętnie w swoją stronę.

Olszyński zawahał się chwilę, czy ma iść dalej. Przewidywał, że i w innych oficjalistach znajdzie tę raptowną zmianę usposobienia, a choć dla podobnych objawów mógł mieć tylko pogardę, było mu przykro.

Jakoż okoliwszy boczne skrzydło fabryki, zajrzał tylko do kotłowni i przyrzawszy się czyszczeniu palenisk, zawrócił z zamiarem udania się do domu, gdy nagle usłyszał za sobą głos młodego Kurzbacha:

— Dzień dobry, panie Olszyński!

Obejrzał się. Przed nim stał młody dyrektor z wyciągniętą dłonią, wesoły, z twarzą rozpromienioną. Olszyńskiemu wydało się w pierwszej chwili, że Horst Kurzbach uśmiecha się ironicznie pod wąsem. Ale było to wrażenie przelotne, baczniejszy rzut oka, przekonał Olszyńskiego, że się mylił.

Młody Kurzbach był tylko niewyspany po nocnej hulance. Na pełnej twarzy, pod oczyma miał obrządek, źrenice krwisto pożyłkowane, co całej fizjonomii nadawało odmienny wyraz.

Wymieniono powitanie.

— Nie był pan na nas łaskaw — zaczął uprzedzająco młody Kurzbach, podsuwając rękę pod ramię Olszyńskiego — ale się temu nie dziwię. Ja sam, gdybym mógł, byłbym się od tego wywinał. Ale dla ojca musiałem. Mój stary zawsze podejmuje oficjalistów... ilekroć przyjedzie do fabryki.

Dla niego może to zabawne, lecz dla nas, którzy z tymi panami obcujemy ciągle, słowo honoru! niewesołe towarzystwo!

Mówił po polsku dość poprawnie, niekiedy zaledwie zacinając się.

— Ja po prostu przyjść nie mogłem, mając do skończenia wykaz tygodniowy „soków“ i „cukrzycy“ — odrzekł Olszyński. Obowiązek przedewszystkiem, przytem...

— Przyznaj pan, nie nęciło pana towarzystwo...

— Mniejsza o to! Siostra mi zasła-
bla...

— Panna Walentyna! Cóż się stało? Wczoraj z rana miałem przyjemność spotkać się w oranżeryi... Cóż takiego? — Podchwycił żywo Kurzbach. — Posyłałiscie państwo po doktora? — pytał z widocznym niepokojem, który Olszyńskiego zastanowił.

Spojrzał zdziwiony, niejako wzrokiem pytając: zkadże ta troskliwość?

W obec więcej, niż oziębłych stosunków z Kurzbachami, osądził — po namyśle, że to najzwyczajniejsza komedia obłudy, maskująca w rzeczywistości, wręcz odmienne uczucia.

Odrzekł tedy such

— Nie posyłałiśmy, nie było potrzeby. Chwilowa słabość przeszła zaraz. Że jednak matka zastraszyła się nie co, więc nie chciałem kobiet zostawiać samych.

Przypomniał sobie zalecenie matki i doradczą politykę Słodowskiego, więc dokończył:

— I z tej głównie przyczyny, nie skorzystałem z uprzejmego zaproszenia panów.

Wymówka wydała mu się nader trafną, kontent też, że mu ją sama rozmowa nasunęła, jał wzajemnie wypytować młodego Kurzbacha o zdrowie ojca, czy się nie czuje znużonym po odbytej podróży, o szczegóły zaprojektowanych nowych urządzeń w fabryce i rad był z siebie, iż się na krew zimną zdobył, nie dawszy poznać, że mu w duszy kotłuje.

Ale teraz rozmowa się nie kleiła. Dyrektor odpowiadał z roztargnieniem, urywkowo, zbywając Olszyńskiego, lakonicznemi zdaniami.

— Prześwidrowałem go na wylot. Odgadłem i pomieszałem szyki. Miał rację Słodowski, z nimi tak trzeba — pomyślał Olszyński, lecz że i jemu samemu sztuczny spokój ciążył, nie prze-

wlekając rozmowy, pożegnał niebawem Kurzbacha, który ciągle jednakowo zamysłony, bąknawszy kilka słów przy rozstaniu, poszedł prosto do kantoru fabryki, z kąd przez otwarte okna dołatywał piskliwy głos buchaltera, rozprawiającego z Gżyckim.

Ten ujrzawszy idącego ku bramie Olszyńskiego, wychylił się przez okno, wołając:

— Moje uszanowanie! moje uszanowanie!

Olszyński nie zatrzymując się, uchylił kapelusza.

— Panie Janie! Panie Janie. — wołał Gżycki. — Prosimy tu do nas. Mam maleńki interesik... Byłem nawet u mamy dobrodziejki. Chciałbym o tem samem z szanownym panem pomówić

— To niech pan pofatyguje się do mnie. Będę w domu do jakiej trzeciej... teraz nie mam czasu — rzucił Olszyński od niechcienia.

Po chwili zniknął za bramą.

Przed domem spotkał przechadzącą się matkę. Staruszka miała twarz uśmiechniętą, wesołą. Ujrzawszy syna wyciągnęła ręce i nim zdążył podejść przemówiła:

— Janeczku! powiem ci nowinę...

— Słucham mamy:

— Zgadnij, kto tu był przed chwilą?
Gżycki!

— Wiem. Mówił mi o tem.

— Więc już z nim rozmawiałaś?

— Wymieniliśmy zaledwie słów kilka z oddalenia. Czegoż chciał?

Olszyńska ująwszy głowę Jana, pocałowała go w czoło.

— Mój Janie! to nie taki zły człowiek... Jak cię kocham moje dziecko! — zaczęła. — Życzliwszy, niż sądziłam...

Jan uśmiechnął się kwaśno, lecz nie przerywał matce. Ta zaś, mówiła w dalszym ciągu:

— Żałuję bardzo, że cię nie było. Rozporządziłam się sama, a nie wiem, czy będziesz zadowolony...

Zawahała się.

— Bo widzisz—zaczęła znowu—trzeba brać ludzi, jakimi są, nie szukając nadzwyczajności. Gżycki ma wady, ale w gruncie rzeczy niezły, jak się okazuje — człowiek. Nie będziesz się gniewał? — spytała, ponawiając uścisk.

— Ależ mateczko! — odrzekł tonem protestu, całując rękę staruszki.—Sko-ro mama coś postanowiła, o niezgo-

dzeniu się mowy być nie może! Ciekawym jednak!.,

— Widzisz, Gżycki przyszedł z propozycją, którą w twojem imieniu przyjęłam — wyrzuciła staruszka pospiesznie. — Powstał projekt...

— Jaki?

— Uczczenie dwudziesto - pięcioletniej administracji pana Kurzbacha, jubileuszem. Ma być bal... zabawa... Podpisali się wszyscy, więc i ja...

Na twarz Jana, uderzyła fala krwi.

Ogarnęło go uczucie niesmaku i przygnębiającego przymusu. W piersiach załomotały z gwałtownością bóli wstyd. Odwrócił się nagle, aby matka nie dojrzała toczącej się w nim walki i motając nerwowo wąsa, począł szybkim krokiem okrażać gazon. Raz jeszcze przeleciało mu przez głowę wszystko, co sobie o stosunku do Kurzbacha tylokrotnie opowiedział, przypomniały mu się słowa Słodowskiego, zaczął wazyć własne „ja“ z różnorodnemi obowiązkami, które nań życie nałożyło i w końcu tych wszystkich rozmyślań, nie znalazł innego punktu wyjścia, jak zagrać komedję, równą tej, jaką z nim grano.

Rzekł też po chwili:

— Dobrze mateczko! dobrze.

Olszyńska spoglądająca na syna z trwogą i niepokojem, rzuciła się teraz ku niemu i radosnym szeptem jąła w dalszym ciągu przedstawiać konieczność takiego środka, rozsnuwając nadzieję na przyszłość i dziękując Janowi za ustępstwo, które dla jej spokoju uczynił. Tkliwość macierzyńska podsuwała jej argument za argumentem, a każdy dość silny i dość stanowczy, aby do serca Jana trafił.

Stopniowo odzyskiwał dobry humor, i aczkolwiek nie mógł wyrugować z duszy uczucia, że popełnia oszustwo względem samego siebie, był jednak o tyle zadowolony z powziętego postanowienia, że gdy staruszka poczęła mówić o poświęceniu, jakie dla rodziny robi i wdzięczności, przerwał jej wesoło:

— Mateczko! nie przesadzajmy. Co za poświęcenie! Złe mi tu nie jest. i nie będzie! A że sztuką Niemców tłuką... kto wie, czy ten figiel nie wyjdzie mi na dobre. Nie mówmy o poświęceniu... ja jestem taki egoista, że dla samego siebie chciałbym tu na zawsze zostać. Dla samego siebie — powtórzył i uśmiechnął się

Przy tych słowach podszedłszy do okien panińskiego pokoju Wali, począł wołać:

— Walu! Walu! Proszę pamiętać, że za trzy godziny jedziemy do Brzostowa.

Wołanie to było niejako dopełnieniem końcowej z matką rozmowy.

Pojęła to Olszyńska. Podniosła rękę w górę, zakreśliła w powietrzu znak krzyża, błogosławiąc zamiarom syna.

V.

Zaraz po obiedzie, wybrała się rodzina Olszyńskich do Brzostowa.

W drodze spotkano wracającego z kościoła Słodowskiego. Szedł groblą, usypaną wzdłuż płynącej nieopodal plan-tu szosowego rzeki, poświstując przez zęby smętnego kujawiaka. Poznawszy jadących, ukłonił się, ale przyspieszył kroku.

Jan zatrzymał pojazd, jął nawoływać.

— A gdybyśmy tak chemika zabrali z sobą? odezwał się do matki.—Bę-

dzie nam weselej. Pan Bruzdowicz bardzo lubi Stanisława...

I nie zwlekając zaproponował zbliżającemu się na wołanie chemikowi współudział w przejażdżce. Ten zawałał się w pierwszej chwili, spłonał jak panienka, wymawiając się to brakiem czasu, to pokazując demonstracyjnie na wcale zresztą przyzwoity kostyum marynarkowy, lecz gdy i pani Olszyńska i Wala dołączyły ze swej strony zachętę, jednym susem znalazł się na stopniach pojazdu, ze zwykłą rubasznością, wyrzucając z piersi całą litanie wykrzykników, w których nawet „dya-błów,” liczonych na miliony kóp, nie brakło.

— A niechże mię milion set porwie!—pokrzykiwał, sadowiąc się obok Jana na przednim siedzeniu—jeżelim przypuszczał idąc tędy, że mię taka miła niespodzianka spotka! Kanonik zatrzymał mnie na obiad, miał być preferek, ale aptekarz nie dopisał... Wracało się tedy do domu robić w samotności po wczorajszej „*germanii*” rachunek sumienia. Państwa nie spodziewałem się już zastać...

— Słyszałeś pan o jubileuszu—przerwał Jan.

— Nowy pomysł Gżyckiego — burknął chemik.

— Raczej samych Kurzbachow—zauważył Olszyński.

— I to być może. Ale na to nie ma rady. Jakże się tu wyłączać od tak sympatycznej owacyi. Machnąłem na ten cel pięć rubli.

— Jaś także — wtrąciła z cicha Olszyńska.

— Więc i u was byli?—spytał żywo chemik, spoglądając zdziwionym wzrokiem na Jana.

Ten odpowiedział:

— Gżycki zachodził do mamy. Nie wypadało odmówić.

Trącił nieznacznie Słodowskiego. W oczach chemika mignął chytry uśmiech. Domyślił się, że to pani Olszyńska bez porozumienia się z synem, zgodzić się na przyjęcie udziału musiała, więc zmieniając uszczypliwy ton, jął zacierając ręce, potakiwać, niejako cieszyć się z tej nowej okazji do zabawy.

— Bo to będzie *fest* nielada. Mają zaprosić całe okoliczne obywatelstwo. Bal! tańce! *et caetera. et caetera!*

Słuchająca dotąd w milczeniu Wala,

klasnęła w dłonie. Z ust dziewczęcia wybiegło radosne:

— Ach! jak to dobrze! jak to dobrze!

Słodowski objął ją oczyma, ale natychmiast wzrok spuścił. poczerwieniał jeszcze bardziej, i jakby mu słów do dalszej rozmowy brakło, zaczął, coś niewyraźnie bąkać pod nosem. Zakłopotał się tak dalece, że według zwyczaju, zdjął czapkę i począł trzeć szczycinową blond czuprynę.

Panna Olszyńska szczebiotała dalej:

— Żeby tylko muzykę sprowadzili dobrą. Tak dawno nie tańczyłam... Od imienin mamy! Muszę zaraz dziś z Wandzią pomówić o toalecie. A kiedy to ma być Jasiu? Panie Stanisławie — zwróciła się do chemika. — Zapraszam pana do... do...

— Do pierwszego walca — zaśmiał się Jan.

— Nie tańczę -- bąknął pośpiesznie Słodowski.

— A kto widział, damom odmawiać — zażartowała Olszyńska.

— Kiedy nie tańczę. Nie umiem walca — tłumaczył się, składając ręce Słodowski.

Wala zaczęła się śmiać pełnym, dźwięcznym głosem.

— Jak to? Pan nie umie? Czy to być może? To tak łatwo!

Nadeszła chwila milczenia. Twarz chemika spośpniała, wreszcie zamyslił się i począł mówić:

— Wszystkiego się uczyć potrzeba, a ja na to czasu nie miałem. W chacie ojca, poczciwego kolonisty, rzadko kiedy powstała muzyka. Wszystkiego raz, czy dwa razy, pamiętam. Później poszedłem w świat... Musiałem na utrzymanie w szkołach dorabiać lekcjami... Nie było czasu... A i to potrzebne — dodał smutnie.

Olszyński odczuł, że żartobliwą propozycją wyrządzono Słodowskiemu mimowolnie przykrość, więc zagadnął o czemś innym, jednocześnie dając ukradkiem poznać Wali, aby zaprzestała dalszych nagabywań.

Ale ogarnięte wesołością dziewczę, nie zwróciło na to uwagi, i jakby na złość, wpatrując się figlarnie przymrużonemi oczyma w chemika, rzekło:

— Szkoda. Zanim się pan Stanisław zdoła nauczyć, kto wie, co się stanie... A ja naprawdę chciałabym z panem potańczyć.

Skłonił głowę.

— Choćby mię wszyscy wyśmiać mieli, będę tańczył, skoro pani każe— odrzekł z determinacją.

— Mazura w pierwszą parę — do-rzuciła.

— Mazura w pierwszą parę — po-wtórzył. — I wszystko, co pani rozkaże.

— Oj dzieci! dzieci! — wtrąciła na to Olszańska, Jan zaś wzruszył nie-cierpliwie ramionami i rzekł kwaśno:

— Jest nad czem debatować.

Obrzucił Walę karcącem wejrze-niem. Zamilkła, teraz dopiero zrozu-miawszy, że wszczęty temat, nie przy-padał Janowi do gustu.

Jakiś czas jechano w milczeniu, bo nikt nie podtrzymywał rozmowy:

Zaczynały się właśnie należące do Brzostowa pola. Świeżo podorane na jesieni, łąny połyskiwały skibami glin-kowatej białyicy. W polu było pusto, tylko na przydrożnych lipach szele-ściół zawiedły liść, a nad smugiem pożółkłych łąk falowały muśliny mgieł, unoszone wiatrem ku górze. Wokół rozchodziła się charakterystyczna woń nasiąkłej wilgocią roli; szary refleks ziemi biegł drgającym w przestworzu cieniem, pokrywając skąpo rzucane

nikłe promienie opowitego tumanem oparów słońca.

— Ciekawa rzecz! czy pan Bruzdowicz weźmie udział w jubileuszu?— zwrócił się nagle do Olszyńskiego, milczący dotychczas z niepocieszonym wyrazem twarzy chemik.

Pytanie to wyrwało Olszyńskiego z zadumy, nieprędko jednak zdobył się na odpowiedź, brzmiącą zresztą wymijająco: „nie wiem“. Słodowski zaś, któremu widocznie jakaś nowa myśl zaświtała w głowie, mówił w dalszym ciągu:

— Mnie się zdaje panie Janie, że ten bal, ten jubileusz, to tylko pretekst, wymyślony przez Kurzbachów dla naprawienia stosunków z plantatorami. I dlatego sędzę, że im na panu Bruzdowiczu najwięcej zależeć będzie. Ale to twardy orzech do zgryzienia. Prawda?

Olszyński skinieniem głowy potaknął i westnął, nie zdając sobie sprawy, dlaczego. Co zauważywszy pani Olszyńska rzekła:

— Mam nadzieję, że stosunki ułożą się tak, iż pan Bruzdowicz nie odmówi. Gzycki napomknął coś o tem, że

pan Horst osobiście wybierze się do Brzostowa...

Wala zatrzepotała się na siedzeniu.

— Ach! jak to dobrze! — odezwała się przerywając matce. — Wandzia tak dawno pragnie poznać pana Horsta!

Jan zmarszczył brew. Naiwny wykrzyknik siostry wzburzył go wielce. Nie był w możności ukryć tego. Jakoż przemówił z niechęcią:

— Moglibyśmy też o czem innem rozmawiać. Panów Kurzbachów mamy do syta w fabryce.

Ale na „coś innego“ nie było już czasu, bo pojazd minawszy szereg chat włościańskich, skręcał właśnie wysadzoną strzyżonemi świerkami aleją, ku zabudowaniom dworskim.

Panie poprawiły tualet, Słodowski zapiął szczelnie marynarkę, a Olszyński zwrócony twarzą ku bielejącym wśród kęp drzew ścianom brzostowskiego dworku, zdawał się oczyma wciskać do wnętrza.

Z dworku ujrzano nadjeżdżający pojazd. Skrzypnęły zawiasy lufcika. Wychyliła się najpierw główka dziewczęcia, potem skrzypnęły drzwi, jedno, drugie i na ganek wybiegła panna Wanda Bruzdowicz, a z nią nieodstęp-

na ciocia Femcia, daleka kuzynka Bruzdowiczów, Po chwili wyszedł sam Bruzdowicz, szczupły, zasuszony, mężczyzna, z orlim nosem, długą siwiejącą brodą. Poznawszy gości, rozkrzyżował ręce, podbiegł szybko do zatrzymującego się pojazdu, z pełną uszanowania szarmanterią, wysadził panią Olszyńską, Walę w przelocie musnął w czoło, uścisnął Słodowskiego serdecznie, a Jana z istic ojcowskiem wylaniem do piersi przygarnął.

Posypały się zapytania i odpowiedzi, wśród których górowały głosy kobiece, zwłaszcza cioci Femci, która stęskniwszy się za Olszyńską, nikomu prawie dojść do słowa nie dała.

Po chwili towarzystwo rozdzieliło się. Pani Eufemia zaciągnęła obydwie Olszyńskie do swego pokoju. Jan z Słodowskim dotrzymywali placu gospodarzowi, który już przedtem zdażył im szepnąć na ucho, że chciałby z nimi na osobności pomówić.

Jakoż gdy zostali sami, bo panna Wanda zaraz po powitaniu znikła zakrzętnąć się około podwieczorku, usadowił przybyłych, poczęstował cygarami i zwracając się do Olszyńskiego rzekł:

— Coś mi pan Jan nietęgo wygląda. Wiem... wiem... spotkał cię zawod... Ale zostajesz nadal w fabryce?

— Zostaję.

— To i dobrze. W pierwszej chwili, jak mi o nominacyi młodego Kurzbacha powiedziano, nie chciałem wierzyć, że hrabia, ostatecznie porządny człowiek — mógł na coś podobnego przystać. Rozmawiałem z nim w zeszłym roku w tej materyi i zwierzył mi się, że chciałby jak najprędzej wyzbyć się Niemców.

— A jednak nowych jeszcze wprowadza—wtrącił Słodowski pogardliwie.

— Nasi wielcy panowie dziwnie do rodaków uprzedzeni — dodał Olszyński.

— Należy ich zatem przekonywać, że są w błędzie--odrzekł na to poważnie gospodarz.—Właśnie o tem chciałem z panami pomówić. Posłuchajcie!

Powstał, przeszedł się po pokoju kroków kilka, poczem odciągawszy Olszyńskiego na bok spytał przyciszonym głosem:

— Czy na Słodowskim polegać można? Sądzę, że to człowiek prawy i nie potrzebuje się jego obecnością krępować?

Olszyński potaknął gorąco:

— Rzadkiej prawości i hartu.

— Nie jest to żaden sekret, ale wolałbym, aby się przed czasem nie rozgłosiło. Ja i kilku jeszcze sąsiadów, zamierzamy zaprzestać plantowania buraków. Przedtem jednakże chcemy spróbować jeszcze układów z fabryką, lub z głównym zarządem dóbr hrabiego. Załadamy podwyżki lub udziału w zyskach.

— Na to się nigdy nie zgodzą—przerwał Słodowski.

— To nie będziemy sadzili.

— Czy jednak, wobec niskich cen zboża, taka zmiana w systemie gospodarczym da się bez znacznych strat przeprowadzić—zauważył Jan.

— Zapewne, że bez strat się nie obejdzie, bo każdy początek trudny, ale rachunkiem mogę panów przekonać, że buraki, po obecnej sprzedawanej cenie, zupełnie się nie opłacają. Chyba przy wyjątkowym urodzaju...

I począł liczyć, przytaczając porównawcze dane różnych płodów, grupując biegle cyfry, które w zupełności wyrażony pogląd potwierdzały.

— Zastanawiałem się nad tą sprawą od lat kilku — rzekł w końcu —

i ostatecznie przyszedłem do przekonania, że cukrownie, wbrew powszechnemu pojęciu, nie posiłkują rolnictwa, lecz przeciwnie, wycieńczają je stopniowo, rozumie się w stosunkach obecnych. Cała zaś wychwalana zdolność przemysłowa kierowników, ogranicza się do wyzyskania trudnego położenia rolnika, który, raz wszedłszy w jarzmo, wydobyć się zeń nie może.

— Przyzna jednak pan dobrodziej! — wtrącił Słodowski — że wina wytworzenia się takiego stanu rzeczy, w lwiej części, obarcza miejscową inteligencję. Kapitały spoczywają nieruchomie w kasach, inicjatywy nie ma, a jeżeli się jakie przedsiębiorstwo na uczciwych oparte zasadach zawiąże o własnych siłach, upada z braku poparcia. Dopiero gdy jaki przybysz stanie na czele, budzi się zaufanie, pieniądź płynie, a ślepa wiara w cudze rozumy każe nam zamykać oczy na to, co z wyłączeniem szczęśliwych jednostek, właśnie ogółowi szkodę przynosi.

W miarę jak mówił, pozbywał się nieśmiałości. Siwe oczy nabrały stalowego połysku, pokraśniał i zapalając się coraz bardziej, kończył:

— Mamy niby handel! co z tego? Żywi i bogaci tysiące pasorzytów! Zachciało nam się przemysłu... Sprowadziliśmy sobie Niemców! Taki on tam i nasz! Zjadamy z łaski rzucone ochłapy, gotowi dziękować, że nam się choć tyle dostało. Jak się obcy przywlecze — geniusz! .. Swoj — fiut!

Dmuchał w dłoń, spoglądając na Olszyńskiego. Ten zaś, dorozumiewając się do czego zmierza, zaczął żartobliwie, zwracając się do gospodarza:

— Chemik udaje pesymistę, a w rzeczywistości jest głębokiego przekonania, że społeczeństwo nasze budzi się już z uśpienia i przy wytrwałości...

— I jedności — dorzucił Bruzdowicz.

Słodowski nie czekając końca przerwał:

— A jużci! Tyko, że o tę jedność najtrudniej. W pojedynkę, to się jeszcze niejeden jako tako horyka, ale gdy co przechodzi siły jednego, gdy zjednoczyć się trzeba...

Wzruszył ramionami.

— Trudno temu przeczyć — odezwał się na to gospodarz — ale dobry przykład jednostek ma znaczenie,

pociąga, zachęca. Wy, na przykład obaj, rzuciliście się, bodaj najpierwsi, na pole przemysłu cukrowniczego. Za wami pójdą inni i za lat parę najprostszą konkurencją pracy wyrugujecie obcy żywioł.

— O ile go tacy Kurzbachowie jeszcze więcej nie naprowadzą do kraju—napomknął znowu Słodowski.

— Przekora z pana — burknął Bruzdowicz z udanym gniewem — kto to widział tak wątpić w własne siły!

— Ja nie wątpię, ale też nie przewiduję, aby wszystko poszło tak gładko, jak pan dobrodziej utrzymuje. Żeby to wszyscy byli tacy, jak Olszyński...

Jan jął zagadywać.

— No! no! tylko się w komplimenty nie baw, panie Stanisławie! Nie dałej jak rano, dałeś mi porządną burę.

Opowiedział spotkanie ranne ze Słodowskim.

Słodowski podczas opowiadania Olszyńskiego, kręcił się niespokojnie, niekiedy ruchem ręki lub potrząsaniem głowy, przecząc. Swoją drogą rad był wielce, kiedy słuchający z uwagą Bruzdowicz z nieudanem zdziwieniem wygłosił:

— Nie spodziewałem się, że z pana taki *polityk*! Chwat chłopak! jak mi Bóg miły! Chwat!

Zachęcony pochwałą, chemik dorzucił kilka trafnych uwag i spostrzeżeń, a gdy rozmowa z teoretycznych ogólników przeszła na grunt praktyczny, a gospodarz napomknął o projekcie założenia spółkowej ziemiańskiej cukrowni, rzekł z powątpiewaniem:

— Bodaj się jak najprędzej w czyn zamieniły zamiary pana dobrodzieja! ale to rzecz niełatwa. U nas wszelkie stowarzyszenia tak szybko rozpadają się i walą, że trzeba nadzwyczaj szczęśliwego zbiegu okoliczności, żeby się takie przedsięwzięcie pomyślnie udało, zwłaszcza, że z umysłu stawianych przeciwności nie zbraknie. Ci pod bokiem — ukazał ręką w stronę fabryki — a i bez tego... Któż z obywateli do takiej spółki przystąpił?!

Bruzdowicz wymienił kilka nazwisk. Słodowski zamyślił się.

— Nie wytrzymają długo — rzekł po chwili. — Przykro to wyznać, ale pod względem solidarnego działania w wspólnym interesie daleko nam jeszcze do Niemców. Gdy jeden Niemiec ma w swej naturze nacięte karby,

drugi z pewnością posiada odpowiednie im rowki, obaj doskonale do siebie przystają i działają jak dopasowane tryby. My, przeciwnie, karb uderza o karb, dopóki się nie wyłamia i cała maszyna wyszczerbioną nie zostanie.

Bruzdowicz, chociaż przyznawał w duchu poglądom Słodowskiego wiele racji, wtrącił:

— Nie rozbijajże mi pan ducha!

I zmierzył bystro, z niejakim podziwem, niepozorną postać chemika. Ten zaś, niezbity z tropu, odparł:

— Panie dobrodzieju! Ja ducha nie rozbijam... Poszedłbym choćby za palacza do waszej fabryki, Bóg świadkiem! lecz jeśli mam być szczerym, to z bólem serca wyznam, że w pomysłne wykonanie planów pana dobrodzieja, na teraz przynajmniej, nie wierzę.

— Bo też to odległe plany! Obecnie poprzestanę na wywalczeniu lepszych cen za buraki i mam prawie pewność, że mi się to uda. Niżej rubla plantować nie będziemy, to już postanowiono.

Podszedł do biurka, wydobył arkusz zapisanego papieru, rozwinął.

— Czytajcie—rzekł.

Była to formalna deklaracya kilku obywateli, sąsiadów Brzostowa, rodzaj *ultimatum* wystosowanego do zarządu cukrowni, z żądaniem podwyżki.

Olszyński rzucił okiem na podany papier, Słodowski zaś wspiąwszy się na palce, pochylony przez ramię Jana, czytał półgłosem, komentując:

— Pan Wąłowski no... może... Skuraczewski... dobry, Falkiewicz... niepewny... pan Jazwiński... wytrzyma... Chylicki... Czokuł... Wyreba...

Zaczął się śmiać.

— Pierwsi po zaliczkę przyjadą — wykrzyknął.

— Kto wie — zaprzeczył gospodarz z oznaką niezadowolenia i, zwracając się do Olszyńskiego, spytał:

— A ty, jak sądzisz panie Janie?

Olszyński po chwilowem wahaniu odrzekł:

— Sądzę, że kolega Słodowski ma rację. Pan Czokuł za bardzo potrzebuje pieniędzy, aby się bez fabrycznej zaliczki mógł obejść, pan Chylicki jeszcze z roku zeszłego pozostał dłużnym pokązną sumę, pan Wyreba również nadebrał...

Bruzdowicz sposepniał. Pociągnął przygasające cygaro, machnął ręką.

— Nie będę się z wami spierał — odezwał się wreszcie tonem chłodnego przekonania. W każdym razie za siebie, za Skuraczewskiego i kilku jeszcze innych ręczę. Sprobujemy!..

Co rzekłszy, powstał i, mruknawszy kilkakrotnie: „zobaczymy! zobaczymy!“ podszedł do okna i jał na szybach wybębniać palcami jakiegoś marsza, co zwykle w podnieceniu czynił.

Spostrzegł to Olszyński, więc mruknawszy znacząco na Słodowskiego, począł łagodzić, zbijać poprzednio wyrażone wywody. Napomknął nawet, że Kurzbachowie, pragnąc się teraz utrwalić na stanowisku, pohopniejsi bodaj okażą się do wszelkich ustępstw, zwłaszcza, że bądź co bądź interesy cukrowni nie poniosą na tem zbyt wielkiego uszczerbku.

Ale Słodowski, który się był na dobre rozgadał, nie dał mu skończyć, i nie zważając na ostrzegające gesta Olszyńskiego, palnął znowu:

— Ta! ta! ta! Zawracanie głowy! Zawracanie głowy! Żeby mogli, toby obcieli jeszcze! Cóż to ich nie znam, czy co? Zamiast podwyżki, wyprawia bal... jubileusz... szlachta się zjedzie...

— Jaki bal? jaki jubileusz? spytał

Bruzdowicz, odwracając się od okna i wlepiając wzrok w chemika.

— A to pan dobrodziej nic nie wie?

— Nic a nic. Mówcież.

Olszyński zaczął opowiadać. W miarę jak mówił, oczy Bruzdowicza nabierały coraz więcej osłupiającego wyrazu, twarz mu drgała, usiedzieć na miejscu nie mógł. Zrywał się, przysiadł, wreszcie spuścił głowę na piersi i dwie łzy spłynęły po policzkach, tonąc w rozwichrzonym zaroście.

Otarł pośpiesznie oczy i nie hamując się więcej, wybuchnął:

— Co te szelmy sobie myślą! Tego jeszcze brakowało! Jubileusz? czyj? za co? Miałbym za hetkę pętelkę tego, czyja noga tam postanie! Kurendę po okolicy roześlę, na kości ojców zaklnę, a na takie poniżanie się nie pozwolę! Balu potrzeba? balu? Dobrze!.. Będzie ball! W ten sam dzień, o tejże godzinie, cały powiat sproszę! a tym...

Jakby zawstydzony własną gwałtownością przycichł nagle i już miększym głosem szepnął:

— Zirytowała mnie ta wiadomość. Darujcie! uniosłem się nieco... ale, że do tego nie dopuszczę, to nie dopuszczę...

W tej chwili rozległ się w pobliżu donośny śmiech i na progu ukazała się Wanda, a za nią chichocząca do rozpuku panna Olszyńska.

Obie przypadły do gospodarza z pełną buzią wykrzykników.

— A to ładnie! grzecznie!

— My tam siedzimy same!

— Tatko nam obu panów zabrał!

— Kto widział!

Pan Bruzdowicz zasypany gradem wykrzykników porwał się szybko z miejsca i jął uciekać w najciemniejszy kąt pokoju. Uczynił to właściwie dla ukrycia wielkiego pomieszania, które całą mocą zwalczyć pragnął.

Zostawieni na pastwę panieńskiej natarczywości, Jan ze Słodowskim stali z zakłopotanemi minami, jak dzieci na gorącym uczynku schwytane. Chemik naśladując gospodarza, cofał się przed zagrządzającą mu drogę panną Olszyńską ku ścianie, Jan zaś zdołał zaledwie wykrztusić jakiś zdawkowy usprawiedliwiający ogólnik.

Od dni kilku znajdował się w ciągłym naprężeniu duchowem, tysiące sprzecznych pragnień i uczuć wstrząsało jego umysłem, nie miał prawie jednej chwili, wolnej od głuchej wal-

ki wewnętrznej, tem cięższej do przetrwania, że toczonej pod maską zewnętrznego spokoju. Nawet w tym Brzostowie, do którego jak do cichej przystani po ukojenie dążył, znalazł się teraz, niby wędrowiec na rozstajnych drogach, nie wiedzący, w którą mu wypada udać się stronę.

W uszach brzmiały mu jeszcze ostatnie słowa starego szlachcica, wybuch obrażonej dumy i usprawiedliwionej nienawiści do tych, od których materyalnie był zawisłym, a dla których miłości w sercu nie miał. I ta niemoc była mu w tej chwili najsroższą, bo graniczyła z przymusem obłudy. Daremnie tłumaczył sobie, że inaczej być nie może, że rozdzielają go środki, nie cel; rozdział istniał, rysował się w umyśle Olszyńskiego wyraźnie, niby wielka przepaść.

Nie trwożyła go różnica majątkowa, istniejąca pomiędzy żyjącym z pracy technikiem a córką zamożnego obywatelskiego domu, ile ten akord fałszywy, który mógł w każdej chwili zamącić harmonię dotychczasowych stosunków. Przewidywał chwilę, w której będzie musiał uczynić stanowczy wybór, albo zamknąć w sobie prawdę

i dla kawałka chleba, dla spokoju rodziny, której był opiekunem, zostać obojętnym widzem, lub też rzucić fabrykę i stanąć otwarcie do walki z niemiecką nawałą. Gdyby szło o jego los tylko, uczyniłby to bez namysłu, bez zwłoki, z odkrytą przyłbicą stanąłby w szeregach walczących, ale... Tych „ale“ przesuwwały się w umyśle Olszyńskiego chmury całe.

I oto teraz wszystkie te szarpiące myśli zakołowały wrzątkiem w jego głowie. W sercu tętniało jeszcze wtórem oburzenie starego szlachcica, a przed oczyma widniała świeża, pogodna, uśmiechnięta twarz dziewczęcia.

Szczęściem, tuż za pannami pojawiły się obie starsze panie. Słodowski pomknął szybko ku pani Olszyńskiej, a ciocia Femcia, wypaliwszy z miejsca reprimendę za „odosobnienie się panów“, poczęła zapraszać na przygotowany już podwieczorek.

Skorzystał z tego gospodarz i podsunawszy się do Jana szepnął:

— Tylko przed kobietami ani słowa.

Olszyński zrozumiał i skinął, ale równocześnie z niepokojem pomyślał, że matka i siostra mogły już o pro-

jeckie obchodu jubileuszowego powie-
dzieć.

Podszedł jednak do matki i rzekł
z cicha:

— Mateczko! niechże panie o tym
balu przy panu Bruzdowiczu nie wspo-
minają. Mam powody...

Na obliczu staruszki odmalowała się
troska. Chciała coś odrzec, ale nie
było już czasu, bo właśnie zbliżał się
sam Bruzdowicz i podając Olszyńskiej
ramię, poprowadził do sąsiedniej ja-
dalni. Reszta osób podążyła za nimi.

Idąc, zdążył jeszcze Olszyński prze-
strzedz chemika. Ale najbardziej cho-
dziło mu o Walę, która najprędzej
mogła się wyrwać z niepotrzebną wie-
ścią i wszcząć drażliwą rozmowę.
Więc zasiadłszy pomiędzy panną Bru-
zdowicz a siostrą, otwierał już usta,
w celu wypowiedzenia stosownej uwa-
gi, gdy ku wielkiemu zdziwieniu Jana
sam gospodarz, zmieniwszy nagle pier-
wotne postanowienie, przemówił:

— A panna Walentyna wybiera się na
ten bal?

Panna Olszyńska zrobiła wielkie
oczy, zaczerwieniła się po same uszy.
Odczuła instyktownie w pytaniu ten
sarkazm.

Spojrzała lękliwie na matkę. Ta zaś rzekła:

— Proszono nas. W naszym położeniu...

Bruzdowicz potaknął żywo:

— Samo przez się rozumie się. Państwo nie możecie i nie powinniście odmawiać. To zupełnie co innego. Nawet byłoby źle, gdybyście inaczej postąpili—zwrócił się do Jana.

— Ale my... obywatelstwo... nie mamy najmniejszej potrzeby liczyć się z panami Kurzbachami.

Nachylił się ku pani Olszyńskiej i dopowiedział coś półgłosem. Poczem rzucił okiem na siedzące w milczeniu panny, na Słodowskiego, który bezustannie mieszał łyżeczką herbatę, i uśmiech dobrotliwy przebiegł mu po twarzy. Wreszcie odezwał się żartobliwie.

— Coś mi się panienki skwasiły? hm! A gdyby tak u nas jaką zabawkę urządzić? Cóż wy na to? Femciu! Wandziu!

Pani Eufemia, która w rzeczywistości nie pojmowała dobrze, o co tu właściwie idzie, rzekła:

— Kto ma pannę w domu, sam powinien najlepiej wiedzieć.

„Panna“ zaś, pomimo zmięszania, podniosłszy wzrok na ojca, a potem szybko powstawszy, podbiegła i łasząc się jak kotka, ucałowała jego ręce.

Jan odetchnął, rzeczy zaczęły się układać nadspodziewanie dobrze, przewidywane zakłopotanie rozplątywało się samo.

Bruzdowicz po pierwszym impecie, choć od zamiaru zrobienia „szwabom psikusa“ nie odstąpił, w miarę dyskusyi stygł widocznie, skoro w końcu z niejakim żalem rzekł:

— Przykro mi tylko, że nie będę mógł mieć państwa u siebie. Ale i na to jest sposób. Zrobimy na drugi dzień *poprawiny*... Wprost z „jubilenszu“ do nas...

Zataił ręce i począł podżartowywać z Wali, że po jubileuszowym *ein, zwei, drei* — jak walca nazywał — sam ją w pierwszą parę mazura poprowadzi.

Było to wstępem do ogólnego ożywienia. Stopniowo wszyscy odzyskali dobry humor. Pani Eufemia przysiadłszy się do Olszyńskiej i Bruzdowicza, puściła wodze fantazyi, już naprzód układając różne plany i kombinacye projektowanej zabawy dotyczące. Pan-ny mieszały się od czasu do czasu do

rozmowy, cichaczem czyniąc sobie różne zwierzenia, niekiedy zwracając się z żartobliwą zaczepką do Jana lub Słodowskiego.

Słodowski był w wyjątkowo świetnem usposobieniu. Nadewszystko pozbył się zwykłej wobec kobiet nieśmiałości i niechęci, że zaczepiany, odcinał się dowcipnie, ale sam wyciągał panny na słówka. A czynił to tak swobodnie, tak jakos dobrze, że potrafił rozruszać nawet Jana, który, chociaż starał się dostroić do ogólnego tonu, najmniej z całego towarzystwa był sobą.

Zwykle nadzwyczaj rozmowny i umiejący rozmawiać, teraz ruszał urywanemi zdaniami, zamyślając się chwilami do tego stopnia, że mu niejedno zapytanie parokrotnie ponawiać wypadało.

W porównaniu z anormalną wesołością chemika, on to raczej zdawał się być owym „dragiem“, którego brak ogłady towarzyskiej krępuje, i oniesmielonym wobec kobiet czyni.

Sam to odczuwał.

Padał już zámrok wieczorny. W salonie zapalono świece. Towarzystwo przeniosło się tam na pogawedkę, tyl-

ko Olszyński jakby unikał światła, pozostał.

Staął w oknie i na chwilę zapomniawszy gdzie się znajduje, puścił bieg myślom...

Nagle uczuł delikatne dotknięcie kobiecej ręki.

Przy nim stała Wanda. Pochylona naprzód całą kibicią, spoglądała do bremini oczyma, w których pomimo uśmiechu przeświecała tęsknota i zaniepokojenie.

Jego w jednej chwili oblała rzewność, twarz rozjaśniła mu się pocziwą radością, przytrzymał usuwaną szybko z ramienia rączkę w swej dłoni.

— Chodźmy — szepnęła, rumieniąc się z lekka. A potem spytała cicho:

— Pan ma zmartwienie? Prawda?

Potrząsł głową, chciał przeczyć, ale zamiast tego, wyrwało mu się z piersi westchnienie i rzekł:

— Niekiedy bez poważniejszych przyczyn taki smutek duszę zasnuwa, że człowiek chodzi z nim bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy. Dopiero widok innych, weselszych twarzy, budzi w nas tę świadomość, i wtedy...

— I wtedy?...

— Wtedy do smutku dołącza się pragnienie... współczucia... Czy pani, panno Wando! miewa czasem takie chwile?

— Czemu pan o to pyta?—szepnęła i w mgnieniu oka, usunąwszy zatrzymaną rękę, pierzchnęła do salonu.

Podążył za nią. Siadła przy fortepianie, uderzyła kilka smętnych akordów. Jan stanął obok. Ukazała mu wzrokiem drugie krzesło. Był posłuszny.

— Gdy mi smutno, gram, — szepnęła teraz, przesuwając palcami po klawiaturze.

— W takim razie pozwoli pani sobie towarzyszyć — wyrzekł, podsuwając bliżej krzesło.

Ona nie odrzekła nic, tylko jak rozpieszczone dziecko poczęła mrugać oczyma, na znak, że zezwala.

Instrument zaśpiewał tęskną, serdeczną nutą...

— Ach! będziemy mieli koncert — wykrzyknęła Wala — słuchaj pan! — zwróciła się do Słodowskiego i podskoczyła na palcach ku grającym.

Słodowski uczynił toż samo, stanął obok niej.

Pierwszy raz słyszał grającego Olszyńskiego i był zachwycony. Oczy wytrzeszczył, usta złożył na znak podziwu, jak do gwizdania i z zapartem oddechem słuchał.

Olszyński z Wandą grali na cztery ręce waryacje z Szubertowej piosenki.

Pływały srebrne tony cichej tęsknoty, niewysłowionego upojenia, przepłatane szeptem ujętych w dźwięki westchnień, podniebnych szmerów, czarownym odgłosem rwącej się na wyżyny duszy ludzkiej. Przelatywała w tych akordach uskrzydłona w pieśń nadzieja, snuła się zaduma, skrzyła promienna natchniona miłość.

Wreszcie minorowe tony zaczęły stopniowo słabnąć, przechodzić w zaledwie dosłyszalne kwilenie, odłączać się i ginać. Pieśń zamierała, ostatniem echem utonawszy w ciszy...

Przez chwilę nikt nie śmiał przemówić.

Uczynił to pierwszy Olszyński. Ukłonem podziękował Wandzie, ale miejsca nie porzucił.

— Pomogło?—spytała nieśmiało. Zamiast odpowiedzi, położył rękę na sercu, rozjaśnionym wzrokiem zastępując słowa.

— A widzi pan! — szepnęła i szybko powstawszy, zaczęła składać rozrzucone na fortepianie nuty.

Teraz dopiero rozległy się pochwały. Słodowski zaczął bić entuzyastycznie brawo, ciocia Femcia kiwać się z zachwytu i winszować w pochlebnych wykrzyknikach Janowi wirtuozostwa.

Pani Olszyńska z Wala ze swej strony obsypywały Wandę komplimentami, co znowu polectało ojcowską dumę gospodarza, więc, pocałowawszy córkę w czoło, jął powtarzać:

— Zrobiliście nam prawdziwą przyjemność! prawdziwą przyjemność... Patrzaj! ty nie dobrego!.. spłakałem się, słuchając...

Istotnie miał mokre rzęsy.

Równocześnie Słodowski, zbliżywszy się do Jana, unosił się:

— Ależ gracie, panie Janie! ależ gracie! Wierzyć się nie chce doprawdy! I to na cztery ręce! Ot sztuka! sztuka!

Zaczęto zbierać się do odjazdu.

Gospodarz chciał gwałtem zatrzymać gości na wieczerzę, w czem mu usilnie dopomagały panie Eufemia i Wanda. Olszyńska jednak obawiała

się chłodnej nocy, ze względu na zdrowie Wali, przestano więc nalegać.

Zanim konie zaszły, pan Bruzdowicz wszczął jeszcze z Olszyńskim rozmowę o Kurzbachach i już wprost radził, aby w stosunkach z administratorem zachował możliwą ostrożność i nie narażał się w niczem. Na wyjeździe zaś przypomniał, całując ręce pani Olszyńskiej:

— Niechże pani dobrodziejka częściej na nas będzie łaskawa! A o „poprawinach“ proszę pamiętać!

Wala, żegnając Wandę, zauważyła głosem przyciszonym:

— Szkoda jednak Wandziuchno, że ty na tym balu być nie możesz!

Zwróciła główkę w stronę, gdzie na mrocznej zasłonie nocy widniała jaśniejsza rozświeceni płynących z fabryki odblasków.

VI.

Tegoż dnia, podczas wizyty Olszyńskich w Brzostowie, Gżycki zaszedłszy do mieszkania młodego Kurzbacha, wszczął rozmowę o projektowanej uroczystości.

Horst Kurzbach przyjął go dość

chłodno, i po pierwszych zaraz słowach przerwał kwaśno:

— Przyznam się panu, że mnie się ta cała komedia nie podoba. Jeśli obywatele odmówią, zamiast przyjemności, zrobi się staremu przykrość. Mojem zdaniem projekt nie w porę. Stosunki podrażnione... Lepiej było ograniczyć się wyłącznie na fabrycznem kółku.

Gżycki zaczął upewniać, że się wszystko uda wyśmienicie.

— Z wyjątkiem Bruzdowicza wszystkich jestem pewien—poręczał.—A i ten skoro pan dyrektor osobiście go poprosi przyjedzie.

— Tak pan sądzi?

— Ani na chwilę nie wątpię o tem, panie dyrektorze!

— A ja przeciwnie. Byłem u niego dwukrotnie. Przyjął mnie grzecznie, ale traktował jako interesanta. Nawet córki nie raczył pokazać, choć w rozmowie dawałem wyraźnie do zrozumienia, że pragnę jej być przedstawionym. Ten nie przyjedzie.

Gżycki zrobił ruch przeczący.

— Zobacz pan dyrektor — odezwał się tonem przekonania — że byle pan dyrektor raczył się pofatygować, przyj-

ma go teraz z uprzedzającą grzecznością. Sytuacja się zmieniła—dodał znacząco. Panna nieszpeta! a stary Bruzdowicz, to ryba! kalkulant! ho, ho!

— Słyszałem, że Olszyński miał pewne zamiary — zauważył Horst Kurzbach.

Gżycki machnął ręką z lekceważeniem.

— Było tam coś, ale spaliło na panewce. Pan dyrektor nie zna tutejszych stosunków. Bruzdowicz myślał, że Olszyński zajmie wpływowe stanowisko...—Urwał, pozwalając Horstowi domyślać się reszty. Ten zamyślił się przez chwilę, w końcu rzekł:

— Choćby i tak było, w każdym razie dotychczasowa zażyłość z Olszyńskimi będzie pańskiego Bruzdowicza krępowała.

Gżycki przerwał żywo.

— Bynajmniej! Zwłaszcza, że i Olszyński teraz z innej beczki zaczyna. Ja znam ludzi, panie dyrektorze. Wiedząc, że opozycja nic nie wskóra, zmiekkł. Pani Olszyńska zgodziła się być gospodynią balu...

— A panna, panna?..

Gżycki spojrział z ukosa i jak mógł najszybciej odpowiedział:

— Panna Walentyna! Oczywiście... Oczywiście... ucieszona niezmiernie... Młode to, nudzi jej się w domu... To też kiedy zaszedłem do nich z zawiadomieniem o balu, nie posiadała się z radości. To bardzo ładna osóbką—dorzucił.

Po twarzy Horsta przebiegł wyraz zadowolenia.

Przystąpił do stojącego w potulnej postawie Gżyckiego, poklepał go po ramieniu.

— Pan jesteś sprytny człowiek... panie Gżycki,—pochwalił.

Oficyalista skłonił się nisko. W bystrych jego oczach przemknęło momentalnie szyderstwo, ale stłumił je zaraz i ponawiając ukłon, czekał dalszych słów młodego Kurzbacha, który po niejakiem wahaniu dopowiedział:

— Mam przeto nadzieję, że będę z pana zadowolony. Lubię ludzi, którzy mnie rozumieją. Ale .. *à propos* balu... Zrobiłeś pan przypuszczalne obliczenie kosztów?

Gżycki pośpiesznie sięgał do kieszeni i wydobywszy rachunek, podał go ze słowami:

— Spisałem wszystko.

Kurzbach rzucił okiem, siadł przy stoliku, podpisał i oddając oficjaliście przemówił:

— Zgłoś się pan jutro do kasyera, wyasygnuje potrzebą sumę. Prócz tego specjalnie dla mnie zamówisz pan piękny, o ile można najpiękniejszy bukiet z róż i tuberoz...—Panna Olszyńska lubi kwiaty, prawda?

Roześmiał się. Gżycki zawtórował mu dyskretnie.

— Zrobi się, panie dyrektorze — odrzekł—chowając pieniądze.

— Tylko o tem szal — dorzucił dyrektor i, kiwnął Gżyckiemu głową, na znak, że mu nic więcej nie ma do powiedzenia.

Oficyalista, zgięty w pałąk, kłaniając się nisko, znikł za drzwiami. Tu wydobył otrzymane pieniądze, przeliczył.

W oczach mignął mu wyraz chytrłości. Zbiegł po schodach chyżym krokiem, śpiesząc ku fabrycznej bramie.

Młody Kurzbach rzucił się na szesłag i wyciągnięty niedbale, nucił knajpiarską śpiewkę. Uśmiechał się przytem widocznie pod wpływem myśli, jakie snuł w głowie.

Wreszcie przestał śpiewać. Natomiast sięgnął do portfelu, wydobył maleńką wizytową fotografię i zapatrzył się,

Była to podobizna panny Olszyńskiej.

Patrzył i myślał głośno: — Podobna do Pepi. Bł! jeszcze piękniejsza! Pepi miała usta za szerokie i uśmiech nie tak wabny. A ta... Nadewszystko oczy ma prześliczne, i umie patrzeć.

Oczy mu się zaiskrzyły, twarz pokraśniała. Przytknął fotografię do ust i pocałował. A potem mruknął.

— To będzie prawdziwy *majstersztyk* jeśli się uda. Niebezpieczna rzecz, ale ja właśnie to lubię... To dodaje apetytu... Chociażby dla tego muszę z tym Olszyńskim być dobrze.

Zamyślił się, nie odrywając oczu od fotografii. Nagle sposepniał.

— Stary będzie się krzywił — rozważał — bo Olszyńskiego nie lubi. No! i ja go nie uwielbiam, ale trudno... Ja przedewszystkiem nie przyjechałem się tu nudzić, a ta mała na seryo apetyczny kąsek...

Młody Kurzbach nie był jeszcze ułożony do czekających go zadań życiowych, tresura nie była skończona. Naturalny popęd brał w nim dotąd górę

nad wszelkimi planami; młodość, łaknąca użycia, zasłaniała nie dość wpojone poczucie masowego celu. Nie podał jeszcze karku pod teutoński ideał o tyle, aby w chwilach podniety mieć go wyłącznie przed oczyma.

Był niemcem, ale z tego przejściowego okresu: *Wein! Weib! und Gesang!*"

Kiedy przed kilku miesiącami jechał z woli ojca nad Wisłę, żał mu było dotychczasowego wesołego życia, jakie pędził w czasie studyów. Był młody, zdrowy, przystojny, o polkach słyszał, że bywają piękne, bardzo piękne... I oto zaraz po przyjeździe spotkał pannę Olczyńską na spacerze... Porwała go uroda dziewczęcia. Skrupułów nie miał żadnych, zresztą siostra oficjalisty wydała mu się w pierwszej chwili łatwą zdobyczą.

Stopniowo spostrzegł, że praktykowaną dotychczas drogą nie dojdzie do celu i czuł się upokorzonym. Chęć postawienia na swoim, poczęła w nim nurtować na dobre, a w końcu tak owładnęła, że gotów był wszystko stawić na kartę!

Do nienasyconej żądzy, dołączyły się upór i złość płynąca z niepowo-

dzenia. Nawet obawa pokrzyżowania planów ojca, już go powstrzymać nie mogła.

Kiedy zapatrzony w ukradkiem wy-
ciągniętą z albumu fotografię Wali,
rozmyślał, wstrząsnął nim dreszcz
i chmurę wywołał na czoło. Powstał
i zaczął przechadzać się po pokoju.
Wreszcie przystanawszy przed zawie-
szonem na ścianie zwierciadłem, jął
przyglądać się własnym rysom. Wy-
prostował się, pierś wyprężył i stał
tak chwilę bez ruchu.

Twarz mu stopniowo pogodniała.

Odbite w lustrze szramy, których
miał kilka na twarzy, przypomniały
mu o przebytych już w życiu awantu-
rach

— W najgorszym razie... głup-
stwo! jeden pojedynek więcej, — szep-
nął.

Stanął w pozycji, zgiał ramię i jak-
by w dłoni rapir trzymał, zwrócony
pół bokiem, wykonał kilka udanych
pchnięć.

Potem machnął reką jakby nie chciał
tem więcej zaprzętać sobie głowy, za-
czął figlować z rozciągniętym na dy-
wanie dogiem.

Wszedł lokaj z zawiadomieniem, że go ojciec wzywa do siebie.

Młody Kurzbach skrzywił się.

— Stary będzie mię znowu nudził interesami—pomyślał z niechęcią i odrzekł cierpko: — Idę zaraz.

Dał znak służącemu, żeby się oddalił, sam też niebawem poprawiwszy ubranie, gwizdnął na psa i wyszedł.

Zastał ojca zajętego odczytywaniem przywiezionych z poczty listów. Chmurny był i zirytowany.

Ujrawszy syna powstał żywo.

— Czytaj, Horst! — wykrzyknął, podając mu jeden z listów. — Czego im się zachciewał!

Zaklął. Podparł boki dłońmi i sapiąc czekał.

Horst wziął podany list i czytał.

— Żądają podwyżki — odezwał się dość obojętnie.

Stary rzucił się.

— A ja nie dam!—wybuchnął. — To wszystko Olszyńskiego robota! — sarknął, tupnąwszy nogą.

Horst nie odrzekł nic. Znajac charakter ojca, postanowił przetrzymać pierwszy wybuch. Położył odczytany list na stole i usiadł na najbliższem krześle.

Stary Kurzbach tymczasem mówił, a raczej krzyczał, zaciskając pięście:

— Ja wiem, że to ten *Halunker* intryguje! ja wiem i znosić tego dłużej nie myślę! Jutro zaraz wypowiem mu miejsce, a tym... tym... odpiszę... każę odpisać, że fabryka nie może płacić więcej, Chcą... niech plantują... a nie?... to...

Zaklął znów i spojrzał na syna. Ten siedział, bawiąc się brelokami od dewizki, z miną człowieka, który się zgadza na wszystko, bo go nic nie obchodzi, i milczał.

Stary spytał gniewnie:

— I coś ty na to, Horst? hm?

— Ja? Nic. Ojciec robi, jak zechce. Mnie wszystko jedno.

Ale przecież?

— Wszystko mi jedno — powtórzył Horst—bo w takim razie ja tu nie zostanę.

Otto Kurzbach schwycił się za głowę.

— Co ty mówisz, waryacie! — huknął, wyłupiając oczy. — Co ty mówisz! — powtórzył ze wzrastającym gniewem.

Uniesienie zatamowało mu mowę. Poczerwieniał, zerwał się z krzesła i padł znów, oddychając ciężko. Wresz-

cie twarz mu zaczęła blednąć, zasepione pod krzaczastą brwią, oczy łagodnieć, i nie patrząc na syna, zwrócony do okna spytał, siłąc się na spokój:

— Racz-że mi przynajmniej powiedzieć, skąd to nagłe postanowienie? Czy ty mię masz za głupca, który nie wie, co robi! Jest-żeś przyjacielem Olszyńskiego?! A może cię to cieszy, że na każdym kroku stara się mnie starego zohydzić? że podmawia tych.. tych... głupców!? To cię cieszy! i dlatego chcesz go bronić? No! to winszuję—ciągnął z przekąsem, a w miarę, jak mówił, znać było, że usiłuje dotknąć najdrażliwszej struny synowskiego uczucia, aby wywołać zaprzeczenie.

I rzeczywiście liczył na to, ale się zawiódł,

Horst podczas całej tyrady ojca nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy zaś ten skończył, powstał i ucałowawszy go w ramię, rzekł z żartobliwą poufałością:

— Po co się irytujesz, ojcze! Po co wygadujesz rzeczy, w które sam nie wierzysz? Twój Horst zna cię dobrze i kocha... Ale posłuchaj..

Otto Kurzbach patrzył uporczywie w okno. Horst objął głowę ojca rękoma i skierowawszy ku sobie, spojrzał mu w oczy.

— *Nu! nu!* mów—burknął stary.

Młody Kurzbach pochylił się teraz tuż nad jego ramieniem, począł się doń śmiać swemi melancholijnemi oczyma, przyczem mówił:

— Dobrze ci to mówić, mój stary! Tego wypędzę, tym... odmówię... postawię na swoim! Zrobisz... i pojedziesz sobie. Przyjedziesz znów może za rok. Wybacz!.. ale ja zupełnie nie mam ochoty pić piwa, które nawarzysz. Pomyśl sam!.. Jakie ja miałbym tu życie! Pojmujesz, że mieszkając tu, muszę, bądź co bądź, stykać się ciągle z tym światem, a przyznam ci się, ojcie, że drzeć się ze wszystkimi niezbyt urocza perspektywa!

Stary Kurzbach przerwał:

— Więc według ciebie, ja po dwudziestu pięciu latach pracy, nie mam praw żadnych. Nie wolno mi syna mianować dyrektorem. Tak sądzisz?

— Ależ nie! Masz prawo, skoro mogłeś to uczynić. Ale my tu w każdym razie nie jesteśmy u siebie... I oni ma-

ją jakieś prawa... No, nie gniewaj się! ale w tym wypadku nie masz racji.

Otto Kurzbach zachnął się, lecz nie przerywał synowi. Ten zaś, po chwilowym namyśle, tak mówił:

— Nie bądź, że ja trzymam ich stronę. Poprostu widzę tylko inaczej. Ty chcesz iść przebojem, ja radbym obrać inną drogę. Na wszystko będzie czas. Jeżeli Olszyński istotnie intrygował, o czem zresztą nie wątpię, to się już stało. Jabym go właśnie dlatego starał się zatrzymać jak najdłużej. Wówczas nie my jemu, lecz on nami krzywdę wyrządził. Plantatorzy żądają podwyżki... Odmówić z początku, a później dać z własnej woli. Bo czy my na seryo nie możemy więcej płacić?

Stary Kurzbach słuchał cierpliwie. Przy ostatnich jednak słowach syna potrząsł przecząco głową, ale skinął ręką na znak, aby mówił dalej. Wiedocznem mimo to było, że mięknie, że w duchu podziela poglądy syna, tylko jeszcze otwarcie przyznać się do tego nie chce.

Młody Kurzbach spostrzegłszy, że się dobrej chwycił taktyki, nie wątpił, że ta chwila niebawem nadejdzie, i postanowił ją przyspieszyć. Mówił więc

dalej, nie zważając na przeczące ruchy ojca, a mówił do pewnego stopnia szczerze, bo po za pobudkami osobistymi, wierzył istotnie, że w terażniejszych okolicznościach iść na przebój nie można.

W końcu zaś rzekł tonem żartobliwej uwagi:

— Ostatecznie mój ojczel! ja i tego nie rozumiem, dlaczego my wogóle tu gwałtem mamy zostać?! *In Polen ist viel zu hohlen...* prawda, ale my jesteśmy już dość bogaci. Ja na twojem miejscu, mój stary, urządziłbym już dawno rejteradę. Po co nam u licha to wszystko!

Stary Kurzbach, któremu już twarz rozjaśniła się zupełnie, zgrzytnął i porwawszy się na równe nogi, w najwyższej pasyi zawołał:

— Milcz! Milcz!

Horst machinalnie cofnął w tył, nie zdając sobie sprawy z raptownego wybuchu ojca. Ten zaś stał teraz na wprost syna, trzęsąc się cały, z okiem połyskującym niepohamowanym uniesieniem. Gryzł wargi, dysząc ciężko. Po chwili dopiero wybuchnął powtórnie, przedrzeźniając niejako słowa syna:

— „Ja na twojem miejscu urządziłbym od dawna rejteradę“... I to mówi Niemiec... mój syn!

W głosie drżało szyderstwo, rozjątrzenie; wyrazy padały ostro, szybko. Pluł słowami:

— Więc twojem zdaniem, ta ziemia, którą zdobyliśmy naszą kulturą, wytrwałością,—wołał z naciskiem — ten kraj płonek, na których zaszczepiliśmy naszą cywilizację, ziemia przesiąknięta niemieckim potem, nie jest naszą prawną zdobyczą, zdobyczą niemieckiego ducha i ramion?! Więc ty nie odczuwasz wielkiej misji naszego narodu? Nie uznajesz, że ziemia, na której raz niemiecka stopa stanie, winna być naszą! naszą ziemią!

Rzucił się całym ciężarem ciała na kanapę, jakby go to przemówienie wyczerpało. Rozpiął nerwowo kamizelkę i z wyrazem bolesnego zawodu patrzył w pomieszaną twarz syna, który stał w milczeniu.

Początkowo, gniewne wystąpienie ojca przyjmował z chłodnym spokojem, zdecydowany stawieć opór; lecz stopniowo, w miarę jak stary Kurzbach, zapalając się, uderzał w strunę patryotycznych uczuć, w duszy jego

zaczęły grać: podniecona duma ple-
mienna i junkierska zarozumiałość.

Nie zgadzał się z poglądami ojca
w zupełności jeszcze, lecz już im nie
przeczył i nie starał się przeczyć, lecz
szukał pośredniej drogi, kładł na je-
dnej szali, zarówno osobiste, jak i roz-
snuwane przez ojca cele.

W duszy młodego Kurzbacha z po-
rywami młodości, z naturalnemi in-
stynktami człowieka, zespalały się te-
raz pycha rasowa i zaborczy popęd
Teutona.

Więc kiedy stary po chwilowej przer-
wie ponowił wyrzuty, nachylił się do
ręki ojcowskiej ze słowami:

— Przepraszam cię, ojcze. Zle się
wyraziłem. Ja także rozumiem naszą
powinność!

Stary zachnął się jeszcze, usuwając
rękę, ale zaraz począł łagodniej spo-
glądać, następnie zaś ukazując na ka-
nape, rzekł:

— Siadaj!

Horst spełnił rozkaz.

Przez sekund kilka siedzieli obaj
bez słowa.

Stary po gwałtownej scenie potrze-
bował ochłonać, młody wpaść w ton,
odpowiedni nastrojowi ojca.

Wreszcie pierwszy Otto Kurzbach przemówił:

— Horst! zrobiłeś mi przykrość. Ale nie mówmy już o tem!

Ujął syna delikatnie za ucho, poczem spytał.

— Czy tobie się tu przykrzy? Horst!

Ten potrząsł głową i z niejakim zdziwieniem popatrzył na ojca, który uśmiechając się ciągnął:

— Dziewczeta ładne?..

Usta rozchyliły mu się lubieżnie, obrzękłemi powiekami ruszył i poklepał syna w kolano.

Ten zaniepokoił się. Przez myśl przebiegło mu błyskawicą, że ojciec bez powodu nie wszcząłby na ten temat rozmowy, że może jego umizgi do panny Olszyńskiej wyszły na jaw. Przymusił się wprawdzie do uśmiechu, niemniej jednak zatroskał, i machinalnym ruchem dotknął kieszeni surduta, gdzie przed przyjściem do mieszkania ojca, schował fotografię Wali. Chciał coś wymijającego odpowiedzieć, ale się zawahał, zająknął.

Dalsze słowa ojca, rozwiały nasuwające się podejrzenia. Obawa była bezpodstawna.

Stary Kurzbach dopytywał się w dalszym ciągu, tonem przyjacielskiej po-
błażliwości.

— Polki ładne?.. bardzo ładne..
Nicht wahr? Horst!

I niedwuznacznie dając do zrozu-
mienia, że uznaje prawa młodości,
rzucił kilka jeszcze podobnych pytań,
poczem ją opowiadać jakąś uwantur-
kę miłosną z przed lat kilkunastu,
z chełpliwą dosadnością w szczegółach
i z widocznem, ze wspomnienia, zado-
woleniem.

Tak! tak! — mówił. — To inny ro-
dzaj kobiet. Jakby stworzony do ko-
chania tylko! I dla tego nie dziwił-
bym ci się zupełnie, gdybyś sobie i ty
tutaj jaki „*Schatz*“ upatrzył. Jak cywi-
lizować, to cywilizować! Ale ostrożnie,
bo to niebezpieczne istoty — przestrzegł,
a potem, obrzuciwszy syna bystrem,
śmiejącem wejrzeniem, spytał:

— A może ty już masz? Powiedz!
no! powiedz!

— Nie! nie! — przeczył młody Kurz-
bach, uśmiechając się pod wąsem, któ-
ry pokręcił z fantazją. Z tutejszemi
kobietami gra niełatwa. Niedawno tu
przebywam, a jednak już zauważyłem
wydatną różnicę, jaka istnieje między

niemką a polką. Nasze kobiety to istoty, naginane od małeńka w pewnym kierunku, rozwijają w sobie, jak kurczak hutowany na pularde tylko konieczne do przyszłych przeznaczeń zdolności, z zatraceniem innych zalet.

— A polki? polki? — zagadnął stary Kurzbach natarczywie.

Na to obcesowe pytanie, z ust Horsta wybiegło entuzjastyczne.

— *Prachtvoll! Famo...os...!*

Oczy mu się zaiskrzyły, na policzki wystąpił gorączkowy rumieniec.

Otto Kurzbach wykonał ruch, jakby chciał powiedzieć: „a widzisz,“ poczem ujmując rękę syna, spojrzał mu bystro w oczu i odchrząknawszy zaczął:

— *Na! na!* Twój stary wie [coś o tem... Istotnie piękne są, a dla młodych to wystarcza—przemówił, ale już poważnym, pouczającym tonem. — Ja to rozumiem. ja... sam byłem takim.

Znowuż zamyslił się i po chwili zagadnął nagle:

— Cobyś na to powiedział Horst! gdybym ci na seryo radził ożenić się z polką?

Ten niespodziewany zwrot w rozmowie, wprowadził młodego Kurzbacha w osłupienie. Propozycja ojca wydała mu

się czemś tak nienaturalnem, że początkowo sądził, iż się przesłyszał, lub że stary pod wpływem dobrego humoru, próbuje zeń żartować.

Bąknął też tylko: „z polką? z polką?” i zerwawszy się na równe nogi, patrzył na ojca wzrokiem pełnym zadziwienia i niepewności. Nie mieściło mu się w głowie, aby ojciec mógł o czemś podobnem pomyśleć.

Tymczasem stary Kurzbach nie dając mu ochłodnąć, ciągnął, starając się swemu przemówieniu nadać charakter głębokiego namysłu.

— To nie żarty, Horst! Ja to rozważałem i rozważyłem wszechstronnie. Posłuchaj! Mam was trzech! Karl obrał sobie karierę urzędową. Ten powinien zostać w ognisku naszej niemieckiej ojczyzny... Emil wyjechał do Londynu... Nosi się, jak wiesz, z zamiarem osiedlenia w Afryce... Niech jedzie. Zareczył się z córką angielskiego kupca, to mu ogromnie ułatwiło zawiązanie koniecznych stosunków... Niech jedzie—powtórzył.—Tam stworzy nowe gniazdo dla naszej kultury... Rozumiesz Horst?

Zatarł ręce i przechodząc do osta-

tecznego wniosku, wykladał ze wzrastającym zapalem:

— Ciebie, Horst! — pragnąłbym widzieć na mojem miejscu. Nie należy nam wypuszczać z rąk raz zdobytego stanowiska. Ustąpić—to znaczy skurczyć się, cofnąć w dziejowym pochodzie. Zostać, utrwalić zdobyte, potrzeba. Dla tego celu warto coś poświęcić, zwłaszcza gdy w gruncie rzeczy owo poświęcenie nie ma w sobie nic tak strasznego. Bo wszakże polki piękne?

Zaśmiał się.

— Gdybyś się tak z córką Bruzdowicza ożenił?

Horst wytrzeszczył oczy.

— Ależ ten człowiek patrzeć na nas nie może... ojczel!

— Właśnie dla tego. Spróbuj Horst! Wydaje ci się to niemożliwem, a ja prawie, że jestem pewien, iż gdybyś tylko chciał... Nie trzęs głową! Ty jesteś dobrą prtyą, Horst, a to coś znaczy... Wierzaj mi, znaczy... Przytem, wiesz co? Oni będą to uważali za rodzaj zwycięstwa. Polka podbiła Niemca! to im podchlebi...

I rad z konceptu wybuchnął śmiechem. Zaraz jednak wrócił do po-

przedniej powagi i nie dając przyjąć do słowa zdumionemu synowi, jął wyłuszczać szczegółowo plan całego postępowania, który, jego zdaniem, musiał być uwieńczony dobrym skutkiem.

— Jednego się tylko obawiam... żeby cię z czasem nie zawojowali... Ale nie! nie! ty jesteś Kurzbach, prawdziwy Kurzbach—dokończył z ufnością.— Moja krew! Ty będziesz zawsze pamiętał, że to będą moje wnuki, że będą nosić nasze rodowe nazwisko. Zresztą... będą się chowały... u dziadka...

Horst przez uszanowanie dla ojca, o którym wiedział, że go ze wszystkich dzieci najbardziej kocha, powstrzymywał się dotąd, słuchając cierpliwie wywodów starego.

Na wzmiankę jednak o „wnukach“, nie mogąc się pohamować dłużej, parsknął śmiechem.

Stary rzucił się gniewnie.

— Ja mówię na seryo, Horst! — rzekł surowo.

— Ja również na seryo odpowiadam, że to są rzeczy niemożliwe!

— Dla czego? dla czego? Może ty nie chcesz?

— Mniejsza o mnie. Ja mógłbym pójść za twoją radą, ojcze...

— A więc?

— Jest strona druga. Panna, której dotąd nawet z widzenia nie znam, i ojciec, którego poznałem aż nadto dobrze. Bruzdowicz nas nie nawidzi.

— Tłumaczyłem ci przecież przed chwilą—przerwał Otto Kurzbach porywczo.

— Niemniej, wspominałeś przed chwilą, że Bruzdowicz stoi na czele zmowy plantatorów.

— To się załagodzi.

— Choćby. To jeszcze nie wszystko. Olszyński...

— Znowu ten Olszyński!—wybuchnął stary.

— Ten Olszyński, kocha się w panie, a ona w nim...

— Teraz ja ci muszę przypomnieć, z kolei żeś stawał w jego obronie.

— Z innych powodów i pod innym względem.

Stary uniósł się znowu.

— Nie chcę znać tych powodów i tych względów. Mnie wystarcza jeden. Olszyński mi zawadza i trzeba go zgnieść—rzekł twardo.

Poczem wstał i począł biegać tam i z powrotem po salonie, mruczając niewyraźnie i wymachując rękoma.

Horst zamilkł również, posiedział chwilkę, wałkując przelatujące w głowie myśli, wreszcie wziął leżący obok na stoliku kapelusz i zabierał się do wyjścia.

Ale stary powstrzymał go ruchem ręki, więc przystanął, oczekując. Zmógł się i postanowił słuchać na chłodno. Równocześnie podobne postanowienie powziąć musiał i stary Kurzbach, bo porzuciwszy ton popędliwy, odezwał się z flegmą:

— Dajmy pokój sporom, Horst! Nie jesteś dzieckiem, więc o swym losie sam decydować będziesz. Wyjawiłem ci swoje życzenia, nie myśląc cię w niczem krępować. Zrobisz jak zechcesz. Swoją drogą projekty moje nie są ani złe, ani niewykonalne, być może, iż tylko przedwczesne...

I spojrzął na syna.

Ten, widząc ojca zmięczonym, odrzekł bez namysłu:

— To jedno miałbym im do zarzucenia. Są przedwczesne.

— Przyznajesz jednak, że byłoby wcale nieźle mieć je w pamięci i dążyć do utrwalenia naszych stanowisk.

— W zasadzie przyznaję, lecz przedewszystkiem wypadałoby utorować ku

temu drogę. W obecnych warunkach, podobny krok...

— Nie doprowadziłby do celu. Wiem! wiem! Ja jestem gorączka... ale nie zwykłem się upierać przy swoim. Chętnie posłucham twych zapatrywań—uzupełnił Otto Kurzbach. — Siadaj — rzekł, wskazując synowi fotel. — Pogadamy.

Usiadł, skrzyżowawszy ręce na pierśsiach, co miało oznaczać, że się uzbroił w cierpliwość i gotów jest wysłuchać synowskiego przemówienia.

Było to już widoczne ustępstwo.— Mówiły o tem zresztą oczy starego, wodzące z lubością po płowej czuprynie Horsta, który poczuwszy się panem sytuacji, postanowił skorzystać z dobrego usposobienia ojca.

Zaczął tedy w najłagodniejszy sposób przedstawiać teraz to, co przed chwilą w uniesieniu już był wygłosił. Rozmawiali nie jak ojciec z synem, lecz jak różniący się jedynie wiekiem przyjaciele.

Otto Kurzbach już nie rzucał się, nie przeczył, chwilami tylko trząsł głową, zwłaszcza gdy Horst dotykał tak drażliwego przedmiotu, jak pozo-

stawienia Olszyńskiego w spokoju, do czasu póki się sam nie usunie.

Ale i temu nie sprzeciwiał się już jawnie, a nawet w końcu potakiwał, chociaż dodał, że wolalby się odrazu „tego pana“ pozbyć.

Wreszcie rozmowa przeszła na temat podwyższenia ceny buraków. Młody Kurzbach był, jak poprzednio, zdania, że dla zażegnania zaognionych stosunków wypada od siebie wystąpić z propozycją podwyżki, i tym sposobem uprzedzić zbierającą się burzę.

— Sądzę ojczy, iż to nawet taniej wypadnie. Skoro my im zaofiarujemy, oni stracą na razie podstawę do wyższych żądań. I cała sprawa z miejsca w łeb weźmie. Przekonasz się ojczy! — tłumaczył dosadnie.

Ale stary Kurzbach na tym punkcie był nieugięty.

— Nie. Znam ich — odrzekł też stanowczo:— Ucichną w tym roku, zażą dają więcej w drugim. Ja z nimi dwadzieścia pięć lat handluję i znam ich na wylot! Zresztą po co podwyższać wszystkim? Wystarczy jednemu Bruzdowiczowi. Reszta to śmiecie! — rzucił pogardliwie.— Tego ugłaskać

trzeba, choćby ze względu na przyszłe nasze widoki.

Po twarzy młodego Kurzbacha przemknął wyraz powątpiewania.

— Ostatecznie dla twojej spokojności gotów jestem podwyższyć im .. zaliczkę. W miejsce dziesięciu rubli na morgę, dam piętnaście. To nie kosztować nie będzie, a zobaczysz, że po skutkuje... po skutkuje...

Uśmiechnął się sam do siebie, zatarł ręce.

— Obgadywałem tę rzecz z Gżycim— ciągnął dalej.— Ale... ale?...— podchwycił, jakby sobie przypominając. Doszło moich uszu, że mi tu jakiś .. jubileusz wyprawiać mają?

Nie wypadało mu udawać nieświadomego, nie mógł zaś nawet przed synem przyznać się otwarcie, że obchód ten z jego wiedzą postanowiono.

Horst Kurzbach, wyrozumiawszy wymijające pytanie ojca, odrzekł najspokojniej:

— Dwudziesto-pięcioletni jubileusz administrowania cukrownią.

— Tak! tak... dwadzieścia pięć lat, szmat życia... Przyjemnie mi jest, że ludzie o tem pamiętają. Tylko bez żadnych upominków... proszę cię Horst!

bez upominków! Tego nie lubię... Kiedyż to ma nastąpić? — spytał.

— W tych dniach. Chociaż termin jeszcze nie oznaczony. Chcemy urządzić bal, w którym i okolica weźmie prawdopodobnie udział — odrzekł młody Kurzbach.

Stary kiwnął głową.

— To niezła myśl — odezwał się po chwili — widzisz, jak się to wszystko dobrze składa.

Przybliżył się i cichszym głosem kończył:

— Nie będę tał przed tobą, że mi o tem wszystkim już Gżycki mówił. Zgodziłem się chętnie, raz, że mi to osobistą przyjemność sprawia, powtórę i głównie nawet dlatego, żeby tobie, jak się przed chwilą wyraziłeś, drogę na nowem stanowisku utorować. Stosunek z plantatorami zadrażniony... tutejsi ludzie lubią zabawę... Rozumiesz? Idzie przeto o to tylko, aby ich na bal ściągnąć. Czy Bruzdowicza zamierzacie prosić?

— Naturalnie. Jego przedewszystkiem.

— Tego trzeba poprzednio kupić czemś. Inaczej nie przyjedzie. Wiesz, jak to dobrze pospierać się cza-

sem... Przychodzi mi teraz do głowy, żeby zaraz jutro wysłać do Brzostowa zawiadomienie, że fabryka... biorąc na uwagę... obszar plantacyi i... wyborny gatunek buraków, podwyższa cenę dla plantacyi brzostowskiej o... o... dziesięć kopiejek na korcu... Zatkamy mu gębę.

Horst potwierdził żywo:

— Doskonała myśl, ojcze! Jutro zaraz. Ja zaś pojutrze będę u Bruzdowiczów z zaproszeniem na bal.

— A o panie pamiętaj!

— Przypuszczam, że Bruzdowicz córkę weźmie ze sobą, rzecz prosta, o ile nie odmówi...

— *Na! Na!* podwyżka robi swoje.

Młody Kurzbach, pomimo nasuwających się wątpliwości, nie chciał już przeczyć. Zresztą i jemu samemu ponęta wydała się dość silną. Przytem w miarę jak nad tem rozmyślał, przypomniał sobie, że pani Olszyńska miała być gospodynią balu, co również za jeden z czynników zniewalających Bruzdowicza do przybycia z córką uznał. Wobec tego szanse powodzenia pojutrzejszej jego do Brzostowa wyprawy, bardzo się zwiększały.

Rozmawiali tak ze sobą jeszcze pół godziny w wybornem porozumieniu.

Wreszcie Horst Kurzbach zaproponował przechadzkę do fabryki, sądząc że ojciec któremu tusza wszelki ruch czyniła niemiłym, odmówi.

Ale ku wielkiemu zdziwieniu, Otto Kurzbach zgodził się towarzyszyć synowi.

Wyszli.

Na podwórzu fabrycznem ciszej było niż zwykle. W dzień niedzielny świętowały warsztaty reparacyjne, w samej zaś cukrowni nie było przeróbki buraków. Większość maszyn stała bezczynnie. Około aparatów, dyfuzorów, pras, kręciło się pod dozorem „*vorarbeiters*“ kilkanaście robotnic, czyszcząc blaszane płyty, zmywając podłogi. Żółte światło lampek olejnych, snuło się wraz z kopciem bladą strugą pomiędzy szeregiem bań miedzianych, w których wnętrzu kłębował podgęszczający się sok buraczany. Kwaśny zaduch wydobywanych przy czyszczeniu zgniłych resztek krajanki, wapiennego szlamu, odór przemysłowej w filtrach kości palonej, ostra woń wytlóków i wód odciekowych, pomie-

szane z dusznym oparem, wypełniały całe wnętrze fabryki.

Z murowanego rękawa mieszczącego kotłownię dolatywał stuk tłukących kamienny węgiel młotów, miarowy bełkot, opancerzonej żelaznemi rurami, pary...

Kurzbachowie rozmawiając weszli do wnętrza fabryki.

Stary z trudnością wydostawszy się po kręconych schodach, na galeryjkę chodnikową, jał rozglądać się, sapiąc ciężko.

Lubił nawet przed synem popisować się znajomością zawodu i sprężystością. Więc podparłszy się pod boki, wodził wzrokiem bystro, mrużąc pod nosem i gestykulując na dół, że na wszystko daje baczną uwagę. Niekiedy burczał:

— *Pfuj! Schweinerei!*

Właśnie uczynił to stanawszy przed porzuconą przez robotnicę na korytarzu ścierkę. Kopnął mokrą szmatę nogą i zwracając się do syna zawołał:

— Patrz Horst! Polski porządek!

I zaczął groźnie wykrzykiwać, wzywając „*vorarbeit*er“.

— Jeszcze robota nieskończona —

zauważył młody Kurzbach, ukazując na niewytartą z wody podłogę.

Otto Kurzbach przyskoczył do zbliżającego się w pokornej postawie dozorca i nie szczędząc obelg, polecił zapisać robotnicy rubla kary. Poczem unikając jakiegokolwiek tłumaczenia, odwrócił się i szybkim krokiem podążył do kotłowni.

Palacz razem ze „szpajzerem“, siwym, zasuszonym chłopem, co lata swe od dzieciństwa w fabryce strawił, powitali wchodzących niskim ukłonem.

Otto Kurzbach kiwnął głową, ale nie zmienił gniewnego wyrazu twarzy. Przeszedł zwolna wyłożonym cegłą chodnikiem, wpatrując się w rozpłomienione paszcze palenisk. Dotknął palcami kranu jednego z wodowskazów, nacisnął świstawkę, spojrzał kilkakrotnie na manometr...

Wszystko było w porządku, nie miał powodu do gniewu, a właśnie chciał się gniewać, chciał wykazać swą sprężystość wobec miejscowego robotnika. W kotłowni pracowali sami polacy, nawet „szpajzer“ był chłopem z pobliskiej wioski i zwał się Maciej Smak.

Znał on *dministratora* dobrze, wiedział, że lubi hałasować, ale się z tem już obył. Stał więc wsparty o rękojęść żelaznej szufli, z odkrytą głową, uśmiechając się pogodnie, pewny, że tym razem ominie go burza, bo stary Kurzbach, nasapawszy się do woli, zabierał się już do wyjścia.

Nagle stanął na progu, przez który wiodła kolejka, przeprowadzona dla dowożenia węgla pod kotły.

Przy relsach leżało rozsypane kilka niewielkich grudek węgla. Prawdopodobnie wypadły z toczonego do kotłowni wózka.

Otto Kurzbach podniósł jedną z ziemi i odwróciwszy się impetycznie, huknął:

— Co to jest? *Du! du! Halunkel!*

— Proszę wielmożnego *dministratora* — zaczął się tłumaczyć szpajzer, schylając się w ukłonie do kolan.

Horst zainteresował się również, szepnąwszy kilka łagodzących wyrazów. Jeden z palaczy podbiegł i jał zbierać rozproszony węgiel.

Stary Kurzbach krzyczał w dalszym ciągu, doskakując z zaciśniętą pięścią do stojącego potulnie Smaka.

— *Verfluchter Schafskopf! Kanalie!*

— Panie *dministratorze!* na progu wózek podskoczył i spadło — bąknął Smak.

— Ha! spadło?... *Du alter Esel!* a od czego ty tu jesteś!? Ja ci dam! ja ci pokażę!

I uniosłszy się jeszcze bardziej, szturchnął kułakiem w zasmoloną pierś *szpajzera*.

Ten cofnął się instynktownie, wskutek czego trzymana szufla wysunęła mu się z rąk i padła z łoskotem na ziemię. Kurzbachowi wydało się, że robotnik rzucił ją z gniewu.

Ze strasznym krzykiem przekleństw sunął za Smakiem. I znów pięść niemiecka spoczęła na wypracowanym grzbiecie polskiego chłopca.

Ten umknąwszy w kąt kotłowni, zastawiał się od uderzeń rękoma, wołając:

— Ja nic nie winien, wielmożny panie! Za co mię pan bije... Wielmożny panie!

W pogodnych, zakłęśłych źrenicach Maćka, błysnęło rozżalenie i gniewne poczucie doznawanej krzywdy. Rozprostował się, sięgnął po upuszczoną szuflę.

Widząc to Horst, który dotychczas mitygował uniesienie ojca, odciągnął go teraz na bok i sam wystąpiwszy naprzód, wrzasnął:

— Ty łotrze! śmiesz się jeszcze stawiać hardo! Precz! Precz! Wynoś się z fabryki na cztery wiatry! Zuchwalcze!

Smakowi ręce opadły.

Stary Kurzbach zawtórował.

— Fort! fort!

— Panie dyrektorze! ja nic nie winien jęknąć *szpajzer*, zwracając się do młodego Kurzbacha.

— Poszedł precz! — brzmiał groźny rozkaz.

Panie dyrektorze. Wielmożni państwo! Ja stary... tyle lat... od dziecka w fabryce robię — skamlał złamanym głosem Smak, któremu groźba postradania zarobku kazała zapomnieć o doznanej krzywdzie. — Wielmożni państwo! darujcie! — prosił, obejmując kolejno nogi obu Kurzbachów.

Horst miękł. Spojrzał pytająco na ojca, chcąc niejako wstawić się za szlochającym robotnikiem.

— Naznaczyć mu *karę* — poddał mu na ucho.

Ale stary Kurzbach perzył się w dalszym ciągu.

— Za bramę z nim! *fort! fort!* Precz! Precz! *gałgan, tajdak!* — wymyślał już po polsku, odtrącając od nóg słaniającego się *szpajzera*. — Żeby mi tu więcej jego noga nie powstała! — krzyknął, wymachując rękami nad zgiętym w paląk Smakiem...

Temu w piersiach zatkało, przestał prosić. Stał jeszcze chwilę, łzawym wzrokiem wodząc po towarzyszach pracy, po dyszących żarem otworach pieców... Wreszcie przesunął dłonią po pobladłej twarzy, z ust wybiegł mu półchichot dziki, pół westchnienie. Podał najbliższej stojącemu palaczowi trzymaną szufłę..

— Naści Michał... — wyrzekł z trudnością. — Jak iść, to iść... Ostajta z Bogiem... ludzie...

Obejrzał się raz jeszcze wokół i chwiejnym krokiem wyszedł, stukając drewnianą podeszwą trepów.

— *Halunkel* — warknął za odchodzącym Otto Kurzbach i popatrzył na syna z przechwałą okazanej energii.

Oblicze Horsta pokryło się niezadowolaniem i niesmakiem.

Tegoż wieczora na czarnej tablicy, zawieszanej w budce fabrycznego szwajcara, widniało między robotnikami wydalonymi z fabryki nazwisko starego szpajzera. Niemiecki porządek i ścisłość objaśniały w wypisanym ry-sopisie: „*Maciej Smak* lat 60, wysoki, chudy, łysy, z oparzeliną na lewej no-dze. Pracował w kotłowni. Wypędzo-ny z fabryki za niedozór i zuchwal-stwo.“

Idący rankiem do fabryki na dzien-ną „zmianę“ robotnicy przystawali pod tablicą, kiwając smutnie głowami.

— Szkoda Maćka! Dziecek kupa... zięcia mu do wojska wzięli... kobieta słabuje... Cóż teraz chudzina pocnie ze sobą?..

W kotłowni przy *szpajz-pompie* stał na miejscu Maćka *Johann Kuntze*, brat dozorczy z nalewarni.

VII.

Horst Kurzbach wrócił z Brzostowa dość zadowolony, chociaż główny cel wizyty chybił.

Pan Bruzdowicz przyjął gościa grzecz-nie, ale zimno. Na zaproszenie odpo-

wiedział odmową, dla konwenansu żałując, że zbieg okoliczności nie pozwoli mu uczestnić w tak miłym zebraniu. Tłumaczył się raz – słabością zdrowia, powtórę, że w tymże dniu z racyi zjazdu familijnego również u siebie zabawę zapowiedział. Było dość jasnem, że poprostu szuka grzecznego pretekstu do uchylenia się od zaprosin.

Młody Kurzbach, który zresztą czegoś podobnego się spodziewał, nie nacierał więcej, wyraziwszy jedynie żal w swoim i ojca imieniu, że ich zaszczyt podejmowania tak miłych gości ominie. Następnie gospodarz wszczął rozmowę na temat podwyższenia ceny buraków, nadmieniając, że on ze swej strony przystałby może na proponowane przez fabrykę wynagrodzenie, musi jednakże zasięgnąć zdania sąsiadów, z którymi związał się słowem, poczem dopiero może na uprzejmy list pana administratora stanowczą dać odpowiedź.

Takie postawienie kwestyi było zręcznem sparowaniem cięcia, wymierzonego w celu rozbicia solidarności plantatorów. I pod tym przeto względem spotkał Kurzbachów zawód.

Pomimo to gość nie zdradził niezadowolenia, starając się zjednać Bruzdowicza potakiwaniem jego poglądom i pochwałami dla gospodarstwa brzostowskiego, które, jak mówił, nawet za granicą mogłoby za wzór służyć, czem istotnie ujął nieco starego szlachcica.

Bruzdowicz zatrzymał gościa na obiad, zaprezentowawszy go córce.

Wanda zrobiła na młodym Kurzbachu nader miłe wrażenie. Wprawdzie projekty ojca nie powstały mu nawet w głowie, niemniej rad był bardzo z poznania panny Bruzdowicz, o której wiedział, że jest przyjaciółką od serca panny Wali. Jakoż silił się na wyszukaną uprzejmość. O Olszyńskim wyrażał się z wielkiem uznaniem, jako o człowieku niezwykłych zdolności i najzacniejszego charakteru. Dał nawet mimochodem do zrozumienia, że tylko ulegając woli ojca, objął posadę dyrektora. Z kolei obsypał pochwałami panią Olszyńską, jako matronę rzadkich cnót, o Wali zaś powiedział wprost, że zalicza ją do piękniejszych kobiet, jakie w życiu spotykał. Nie powiedział „najpiękniejszych” wiedząc, że powściągliwość w przymiotnikach, bywa zwykle przez słuchacz-

ki dobrze widzianą; jednakże porównując w myśli urodę panny Olszyńskiej i siedzącą obok niego Bruzdowiczównę, przyznawał Wali pierwszeństwo.

Gustował przedewszystkiem w blondynkach, jaśniejących wdziękiem wiochnach, w uśmiech oprawnych oczach.

— To nie mój typ — myślał, spoglądając na Wandę. — Daleko jej do tamtej!

Niemniej jednak uznawał, że gdyby tamtej nie było, to kto wie, czy idąc za radą ojca, nie pokusiłby się o zaskarbowanie względów tej drugiej, choćby dla wypłatania figla Olszyńskiemu.

Ale tamta przyciągała go stokroć silniej, więc przestał w końcu o tem myśleć, ograniczając się jedynie na pozyskaniu w osobie panny Bruzdowicz sprzymierzeńca.

I to mu się w zupełności udało. Wzamian za pochwalne przekonanie o Olszyńskim dowiedział się niebawem z ust Wandy, że i ona o nim „wiele dobrego słyszała...”

Nie potrzebował się domyślać od kogo, gdyż panna Bruzdowicz zaakcentowała to „słyszenie“ i to „dobre“ tak

znaczaco, że równało się ono wyraźnemu powiedzeniu: „mówiła mi Wala...”

Dla Horsta była to nader pożądana wiadomość. W powszednim na pozór komplementcie mieściła się nadzieja powodzenia jego planów. W dodatku i gospodarz zdawał się odstępować od pierwotnego uprzedzenia, coraz serdeczniej i poufalej traktując gościa. Horst słyszał najwyraźniej, jak po ciachu szepnął do pani Eufemii, że „ten z innego widać, szlachetniejszego drzewa, niż ojciec,” ta zaś odpowiedziała równie pochlebną dla gościa uwagą: „bardzo miły młody człowiek...”

Mający na wszystko baczenie, Kurzbach, wiedząc, że pierwsze lody przełamane, z umysłu przedłużył wizytę.

Odjechał dopiero wieczorem, zapewniając na odjezdnem o swym wysokim dla całego domu szacunku.

Wrócił zadowolony, a co więcej przekonany, że z czasem uda mu się Brudowicza w zupełności ułagodzić, innemi słowy, zaciętego wroga rozbroić! Z taką relacją podążył i do ojca, który z początku zaczął się rzucać i odgrażać, w końcu jednak, przyznał sytuacji i pod tym względem rację. Wogóle Otto Kurzbach przed zbliżającą

uroczystością, zrobił się nader skłonnym do ustępstw. Nawet Olszyńskiego przy spotkaniu witał uprzejmie.

Nadszedł nareszcie ów dzień oczekiwany.

W godzinach porannych zebrali się w sali kantoru wszyscy oficjaliści. Przewodniczył główny buchalter fabryki, który powitał jubilata odpowiednią przemową.

Kurzbach dziękował rozczulony.

Wieczorem zajaśniały rzęsiście oświetlone salony fabrycznej administracji. Wśród zawieszonych różnokolorowych lampionów na froncie budynku błyszczwały okolone wieńcem zieleni cyfry jubilata.

Goście zaczęli się zjeżdżać, a raczej schodzić, gdyż okolica nie dopisała. Gżycki kręcił się, jak mucha w ukropie. Był niespokojny bardzo. Przez kilka dni, poprzedzające uroczystość jeździł po dworach ziemiańskich, namawiając, kusząc przeróżnemi obietnicami. Tu i owdzie otrzymywał wręcz odmowną odpowiedź, kilkunastu jednak plantatorów, bardziej zaangażowanych w zaliczkę, przyjęło zaproszenie, przyrzekłszy przybyć na bal z rodzinami. Ostatecznie i z liczby tych nie

stawilo się wielu, nadsyłając wzamian bardzo grzeczne listy z powinszowaniem.

Odciaęło ich równoczesne przyjęcie w Brzostowie. Gżycki w ostatniej chwili dowiedziawszy się od Horsta o zjeździe u Bruzdowicza, przeczuwał, że tak się stanie, ale rady już nie znajdował.

Mimo to zebrało się kilkadziesiąt osób, bo oficjaliści cukrowni wystąpili gremialnie z żonami i córkami. Nadjechało również kilku obywateli, a między innemi pan Wyremba z żoną, która łącznie z panią Olszyńską miała pełnić honory gospodyni balu.

Około godziny dziewiętej salony poczęły się zapełniać. W przedsionku pałacyku witał przybyłych Horst Kurzbach, dziękując w imieniu ojca za łaskawe względy. Ścisnął się kordyalnie z mężczyznami wiódł do pobocznego pokoiku na „zagrzewkę.“ Pomagał mu jeden z przybyłych świeżo z Brunszwiku praktykantów, Karol Hoffermań, przystojny, dwudziestoletni niemczyk, i Gżycki. Ten szastał się na wszystkie strony, szepcząc każdemu na ucho o świetności przyjęcia i zabawy.

Olszyński towarzyszył siostrze i matce, które łącznie z panią Wyrembiną zajęły się damami.

Śłodowski, który przybył jednocześnie z Olszyńskimi, asystował przez chwilę cudnie wyglądającej w balowym stroju Wali, w końcu jednak, gdy z przybyciem kilkunastu osób zrobiło się około panny Olszyńskiej tłoczniej, zaszył się w kąt salonu i patrzył, przygryzając wąsa, z miną człowieka, któryby rad uciekł w jednej chwili. Był nie swój. Zawadzał mu frak, bo go rzadko kiedy przywdziewał, gniotły nowe lakierki, drażnił krocchmalny gors koszuli, a białe rękawiczki ciążyły jak kajdany.

Rozłożywszy palce, opuścił sztywno obie ręce na dół i stojąc w takiej pozycji, mruczał:

— Wygląda człowiek jak małpa w tym chomencie. Ruszać się ciężko.

Popatrzył na animującego panie Olszyńskiego.

— Ot ten, jakby się we fraku rodził. Co tu gadać! chłop chłopem! drąg drągiem!..

Zasepił się, westchnął. Przypomniat sobie właśnie o przyobiecany m pannie Olszyńskiej walcu... Nie oddałby te-

go tańca za świat cały, za drugie życie, a jednak na myśl, że ta upajająca dlań chwila się zbliża, ogarniał go w wysokim stopniu niepokój i zakłopotanie. Tańczyć wogóle nie umiał... a jeszcze z nią! z nią! Wprawdzie przez kilka wieczorów z rzędu, zapusciwszy szczelnie rolety w swym pokoju, uczył się z nabytego podręcznika przeróżnych *pas*, skakał, podrygał, pogwizdując walcową melodyę i zdawało mu się, iż się o tyle wyuczył, że ostatecznie nie pokpi sprawy. Teraz jednak uczuł, że nauka poszła w ką, że mu nogi już kołczyją, a cały organizm chwyta jakiś zalek obozwładniający.

I zaklął w duchu: — A bodaj to dyabli wzięli!

Do sali wszedł Otto Kurzbach, prowadzony pod ręce przez pana Wyrembę i buchaltera. Kłaniał się na wszystkie strony, dziękując łamaną polszczyzną za życzenia, jakie mu ponownie składano. Twarz miał rozrzuwnioną, dłonią raz po raz dotykał serca.

Usadowieni na podwyższeniu muzykanci zagrali fanfarę. Jubilat podał ramię pani Wyrembinie, mąż tejże pani Olszyńskiej, reszta mężczyzn również ruszyła ku paniom.

Czatuający w pobliżu Gżycki, skinął na muzykę. Rozległy się dźwięki — posuwistego poloneza.

W tej chwili Horst Kurzbach, podskoczywszy do okna, wziął ukryty za firanką bukiet i przecisnąwszy się szybko do Wali, podał jej kwiaty, równocześnie podsuwając ramię.

Panna Olszyńska zapłoneła, skurczyła alabastrową szyjkę, poczem wolną ręką podsunęła bukiet pod sam nosek i z porywającym wdziękiem szepnęła: — Dziękuję! Prześliczny!

Gorący jej oddech zmieszał się z wonią parmeńskich fijołków i musnął rozpromienioną twarz towarzysza.

W Kurzbachu krew grała tak silnie, że nie licząc się z niczem, pochylił się nad trzymanym przez pannę Olszyńską bukietem i dotknął wargami kwiecica, w miejscu, gdzie przed chwilą jej spoczywały usta.

Wykonał zaś to zręcznie i szybko. Wala instynktownie odsunęła bukiet.

Młody Kurzbach, pokrywając przytomnością umysłu chwilowe zaniepokojenie, przemówił tonem zupełnie swobodnym, ukazując oczyma na przed nim idącego pana Wyrembę, który

zamaszycie wiódł w polonezie panią Olszyńską:

— Zazdroszczę państwu tego tańca. Dla mnie jest on tak trudnym, że się go chyba nigdy nie nauczę. A chciałbym...

— Ja wolę walca — przerwała szep-tem Wala.

— Walca?... pani woli walca!

Skinęła wdzięcznie głową. Horst po małej przerwie rzekł prosząco:

— Czy mogę prosić pani o zaszczyt ofiarowania mi pierwszego tour'a?...

Podniosła nań oczy. Figlarny uśmiech przebiegł po rozchylonych malinowych wargach i osiadł na zaróżowionej twarzy.

— Pierwszego zamówił pan Słodowski — chichotnęła raczej niż odrzekła.

On poszukał wzrokiem Słodowskiego. Niezgrabna postać chemika wydała mu się tak śmieszną, że nie krępując się, zagadnął wśród wybuchów szczerego śmiechu:

— Pan Słodowski! Ależ on, o ile sobie przypominam, nie tańczy całkiem. Nawet niepodobna wyobrazić sobie pocziwego pana Stanisława tańczącym.

— A jednak mnie spotkało to wy-

jątkowe szczęście — wtrąciła z lekkim sarkazmem.

— Gotów jestem wyprosić ustępstwo! — podchwycił żywo. Pan Słodowski ustąpi, lub wymożemy na nim zrzeczenie — dokończył z pogroźką.

— O nie! nie! — zaprzeczyła pośpiesznie. — Niech pan tego nie robi. Jasiowi byłoby przykro... a i mnie — napomknęła nieśmiało.

Właśnie wchodzili do drugiej sali, gdzie już około zastawionego do kolacyi stołu, grupowali się goście. Horst, który miał już na końcu języka natarczywe „dlaczego,” uciał. Podsunął krzesło Wali i sam zajął obok niej miejsce. Dopiero podczas jedzenia, upatrzwszy stosowną chwilę, nawiązał przerwana rozmowę. Wytlómaczyła mu się teraz jaśniej, opowiedziawszy otwarcie, że to ona sama skusiła Słodowskiego do tańca.

— Ha! jeśli tak, nie pozostaje mi nic innego, jak błagać o następstwo po Słodowskim — odrzekł wyciągając ręce po zawieszony przy wachlarzu karneć, i nie czekając na zezwolenie, wpisał swe nazwisko.

— Dla mnie będzie to pierwszy walc. Tymczasem będę się bawił w widza

i podziwiał gracyę szczęśliwego dan-sera.

Dotrzymał słowa. Z chwilą rozpoczęcia tańców, wsparty o drzwi salonu, czekał, nie posuwając się do żadnej z panien.

Muzyka zagrała walca. Młodzież ruszyła do danserek. Pierwszy wyrwał się młody Hoffermań z córką buchaltera, za nim inni. Słodowski, który po skończeniu kolacyi kręcił się w pobliżu panny Olszyńskiej, przeżegnał się teraz i z determinacją zbliżył ku niej.

— Myślałam, że pan zapomniał — odezwała się, z wysiłkiem powstrzymując się od śmiechu.

Słodowskiemu załomotało w piersiach, dech zaparło. Niewysłowna błogość oblała mu duszę i zmysły. Stał przed Wałą w kornej, wyczekującej postawie, nic nie widząc i nic nie słysząc. W oczach migotały mu jakieś barwiste plątki, w głowie szumiały srebrne dźwięki jej mowy, z serca poszybowała po całym organizmie krew gorąca. Nie był w stanie zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź, tylko bił ukłon za ukłonem, czerwieniąc się, to blednąc naprzemian.

Wreszcie, jakby magnetyczną siłą pchnięty, podał się naprzód, objął kibić panny Olszyńskiej, zgiął lewą nogę w kolanie i wykonał kilka ruchów w tył i naprzód. Było w tem rozmachu coś rozpaczliwego i śmiesznego zarazem. Starał się wpaść w takt, nie mógł, a zapalał się coraz bardziej. Wala dusiła się od śmiechu.

Nakoniec po wielu niefortunnych próbach udało się Słodowskiemu posunąć w należytem tempie. Wmieszał się w wirujące pary... Początkowo szło dość gładko. Z biciem serca rachował w myśli: raz... dwa... trzy... — i z pewną dumą zawijał w koło. Wala, tańcząc znakomicie, dopomagała mu o ile mogła.

Przeplłynęli szczęśliwie połowę sali, gdy tańczący przodem Hofferma zaczął balansować, zatrzymując tańczące za sobą pary. Wala targnęła silniej ramię tancerza, wykonywując ruch wsteczny, ale nim rozmachany Słodowski zdołał odczuć ostrzeżenie, wpadł już potężnemi barami na pana Wyrembę i sam się od silnego potrącenia zatoczył. Zerwał się wprawdzie zaraz szybko, jak koń do skoku, ale tymcza-

sem tańczący zawrócili w przeciwnym kierunku, rozgrodziwszy go z tan . cerką.

Przecisnął się gwałtownie z desperackim zamiarem dokończenia przerwanej tańca i znów, ująwszy w pół danserkę, puścił się za innemi. Ale teraz nie szło mu już zupełnie. Z trudnością dobił do zajmowanego poprzednio przez pannę Olszyńską miejsca. Wysunęła mu się z ramion.

— Dziękuję, zmęczyłam się — szepnęła, padając na krzesło. Przysłoniła twarz wachlarzem, wachlując się dla niepoznaki. Zabawił ją nieudatny taniec. Śmiech szczery wydzierał się na usta. Tłumiła go przez wzgląd na Słodowskiego, który ze wzrokiem, utkwionym w podłogę, przywarłszy oburącz do poręczy krzesła, zdawał się prosić przebaczenia.

Pomimo całej trzpiotowatości, zrobiło się jej żal. Wszakże na śmieszność narażał się tylko dla niej.

Dotknęła zlekka wachlarzem ręki jego i przechylając się tak, że jej oczy spotkały się z opuszczonym w dół wzrokiem chemika, szepnęła:

— A widzi pan, że to nic tak dale-

ce trudnego. Drugim razem pójdzie jeszcze lepiej.

Uśmiechnął się smutnie, dłonią po czole przesunął i zniżając głos odrzekł z westchnieniem:

— Nie mnie brać się do takich rzeczy. Trudna rada! Wstydzi mnie tylko dobroć pani... Ale doprawdy robiłem, co mogłem, bo jabym wszystko... jabym każde życzenie pani...

Nie dokończywszy zaczętego zdania, odszedł i wmieszał się w tłum mężczyzn, znajdujących się w sąsiednim pokoju.

Wala odprowadziła go zadziwionym wzrokiem. Ostatnie słowa chemika wydały się jej niespodziewanem zwierzeniem tajonych usilnie uczuć. Zakłopotana się, zalekła prawie. Wstrząsała nią dreszcz obawy. Miałżeby ten Słodowski?.. Zaczęła przeczyć sama sobie, opędzać się niepożądanemu odkryciu.

Chmura zadumy pokryła czoło panny Olszyńskiej.

Wtem doleciał jej ucha głos z boku:

— Budzę panią i przepraszam za przerwanie snów różowych.

Przy krześle stał Otto Kurzbach, ło-

wiąc zadumaną postać Wali roziskrzonym spojrzeniem.

Podsunał się bliżej.

— Czy wolno panią teraz prosić? — przypomniał, skłaniając głowę.

Z oblicza panny Olszyńskiej pierchnął wyraz niesmaku. Uniosła się szybko z miejsca i wspięta na palcach, wysunęła ku niemu śnieżnej białości, utoczona rączkę. Pochwycił ją jak mógł najprędziej i oplótł ramieniem. Oczywiście spotkały się kilkakrotnie... i młody dyrektor puścił się w taniec z siostrą podwładnego oficjalisty.

Tańczył zwinnie, lekko, ale teraz przeszedł samego siebie. Kończynami stóp zaledwie dotykając posadzki, niósł tancerkę prawie w powietrzu, pierś przy piersi. Mijał, okrażał pary za parami, wykonując zwroty z tą niewymuszoną elastycznością, która znakomitego tancerza znamionuje.

W gronie pań starszych, przyglądających się tańcom, dały się słyszeć pełne podziwu wykrzykniki. Pani Olszyńska odbierała ze wszech stron powinszowania i pochwały. Unoszono się nad urodą Wali, nad jej gracyą i zręcznością.

W staruszcze serce rosło. Nie odrywając oczu od wirującej pary, dziękowała uprzejmym ukłonem. Rozradowanie tamowało jej mowę. Szept pochwalny wzrastał, a i w kole tanecznem par przybywało. Przykład dyrektora zachęcił ocieężalszych. Wśród tańczących znalazł się i Olszyński z jedną z panien z sąsiedztwa. Tylko Słodowskiego, który osowiały siedział w drugim pokoju pod piecem, brakowało. Nikt na to jednak nie zwrócił uwagi, a najmniej Wala. Rozkołysana tańcem, upojona wzruszeniem dziewczyna, płynęła po sali u boku swego tancerza.

Przetańczyli już kilka razy dokoła. Wala nie czuła najmniejszego zmęczenia. Tylko coraz gorętszy rumieniec rozpływał się po jej obliczu.

W gronie przyglądających się tańcom widzów ukazał się stary Kurzbach w nieodstępny towarzystwie buchaltera Gzyckiego, którzy mu dotąd przy kleiszku dotrzymywali placu. Rozstąpiono mu się, robiąc miejsce. Podpił już. Oczy mu się szklily, rozlana twarz świeciła wesołością i zadowoleniem. Ujrzawszy tańczącego sy-

na, jał przytupywać w takt i nucić pod nosem.

Nagle spytał:

— Co to za panna, co Horst z nią tańczy?

Pytanie było zwrócone do Gżyckiego, ale uprzedził go buchalter, odpowiadając:

— Siostra wice dyrektora... Olszyńska...

Otto Kurzbach zmarszczył brew, pokręcił głową, potem przyjrzawszy się płasającej Wali jeszcze bardziej, wycedził przez zęby:

— *Schönes Mädel!*

I jakby sobie o czymś przypomniał, puknął palcem w zapocone czoło, mówiąc:

— *Ach! Da liegt der Hund begraben!*

Zaraz też, spostrzegłszy, że muzyka cichnie, ruszył w drugi koniec sali ku miejscu, gdzie się Horst z panną Olszyńską zatrzymał. Miał minę człowieka, który odkrył nareszcie długo śledzoną tajemnicę i rad był z tego niepomiernie. Uśmiechał się znacząco i szedł prosto ku stojącemu przy boku Wali synowi.

Ten, dojrzawszy ojca, postąpił krok naprzód, jakby go zamierzał uprzedzić.

Ale stary dał znak ręką i nie doszedłszy jeszcze, zaczął, kłaniając się panie Olszyńskiej, wygłaszać po polsku jakiś komplement. Brakło mu jednak słów, więc dokończył po niemiecku i zwracając się do syna, rzekł:

— Przetłumacz...

Horst skwapliwie wypełnił zlecenie, tłumacząc:

— Ojciec wyraża swój podziw. Dawno tak świetnie tańczonego walca nie widział..

— *Ja wohl! ja wohl!* — potwierdził stary Kurzbach, ponawiając ukłon.

Pannę Olszyńską okrył pas. Dziewczęcia pierś wznosiła się i opadała szybko, w oczach zaświeciła jakaś nieokreślona chęć, jakieś niewyraźne żądanie i gorączkowy niepokój. Niemniej Horst, skrzyżowawszy z ojcem wejrzenie, starał się dociec, co właściwie było pobudką tej niezwyklej szarmanteryi.

— Stary domagał się prawdy — pomyślał i dla uniknięcia dorywczych wyjaśnień, skłonił się Wali, zamierzając odejść. Ale ku [wielkiemu jego zdziwieniu, Otto Kurzbach, który przez czas cały nie spuszczał z Wali oka, nabierając coraz dobrotniejszego wyra-

zu twarzy, zagroził mu drogę i klepnawszy z lekka w ramię, szepnął:

— Zostań! ty masz dobry gust, Horst!—i odszedł zaraz, dając tem do zrozumienia, że synowi bynajmniej przeszkadzać nie myśli.

Jakoż ani razu nie zbliżył się do asystującego wytrwale pannie Olszyńskiej Horsta, natomiast kilkakrotnie podchodził do pani Olszyńskiej i z ożywieniem z nią rozmawiał, o ile mu na to znajomość języka pozwalała. Co więcej, dostrzegłszy stojącego na uboczu Jana, który po przetańczeniu walca już więcej w tańcach nie brał udziału, jął go w wyszukanych słowach do dalszej zabawy zachęcać.

Olszyńskiego zastanowiło zachowanie się administratora i wyjątkowe względy. Przyjął je z nieufnością. Odpowiadał zdawkową grzecnością, uśmiechem, nareszcie uwolniwszy się od towarzystwa starego Kurzbacha, usunął się do drugiego pokoju. Czuł się znużonym, a raczej przygnębionym na duchu. Wszystko, na co patrzył, raziło go niemiłosiernie.

Przyszedł tu dla matki, dla siostry, pogwałciwszy własne przekonania, i radby był uciec każdej chwili; nie

wypadało mu jednak zostawić samych kobiet. Z konieczności przeto postanowił wytrwać do końca.

Otworzył lufcik, wychylił głowę dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Na dworze robiło się już jasno. Świt wstawał. Nieopodal, o jakie sto kroków od pałacyku, huczała zamknięta w kamiennym kolosie praca, a dalej hen! na widnokręgu pobłyskiwały pojedynczo nikłe światełka.

Zapatrzył się, zamyślił.

Wtem usłyszał za plecami głos Słodowskiego:

— A to się ładnie bawiciel

— Głowa mnie nieco boli — odpowiedział, odwracając się. — A wy? — spytał.

— Et! — odrzekł krótko zapytany, machnąwszy ręką. — Chwała Bogu, że już świta...

Zamienili spojrzenia.

— Wiecie co? Przejdźmy się trochę po podwórzu. Wrócimy za jakie pół godziny, może się to już skończy.

Wyszli, z przyzwyczajenia kierując się ku fabryce. Po drodze spotykali gromadki robotników. Jedni szli na dzienną zmianę, drudzy spieszyli po nocnej pracy do domów. W cukrowni

rozbrzmiewało nawoływanie dozorców, sapanie pomp i odgłos spadających z elewatora na krajalnice, buraków.

Słodowski spojrział na zegarek.

— Szósta. Akurat zmiana. Zajdźmy do środka — przemówił.

Olszyński zawahał się. W balowem ubraniu, we fraku, nie bardzo wypadło pokazywać się robotnikom.

Nagle straszny krzyk rozdarł powietrze, krzyk pełen grozy i przerażenia.

Kilku robotników, odbiegłszy maszyn, popędziło czeredą ku skrzydłu, gdzie mieściła się kotłownia. Krzyk wzrastał, przeradzając się w chór rozpaczliwych głosów, któremu towarzyszyło głuche dudnienie, do odległych grzmotów podobne. Szyby w oknach poczęły drżeć, chrzęścić, wiązania trzeszczeć. Świstawki odezwały się przesywającym gwizdem. Z murów zaczął opadać odrywany wstrząśnieniem tynk...

Olszyński drgnął; oczy wypełnił mu przestach, w całym pędzie rzucił się w stronę kotłowni. Słodowski, blady jak ściana, pobiegł za nim, krzycząc przeraźliwym głosem:

— Jezus! Marya! kocioł!

Z kotłowni wszystkimi otworami buchały kłęby gorącej, porywającej w przelocie pył i kurz, pary. Przez uchyloną wrotnię tłoczyli się gwałtownie palacze, wybiegając na zewnątrz z okrzykiem piekielnej trwogi. Niektórzy wyskakiwali niskimi, sięgającymi fundamentów oknami, tłukąc szyby, kalecząc ręce, rozdzierając odzież. Gonił ich obłok syczącego waru, parząc boleśnie. We wnętrzu, dołem, wirowały gęste tumany kurzawy miału węglowego, górą nad kotłami wył rozszałały strumień oparów, wypełniając całą przestrzeń nawałnicą wrzącej bieli. W rozżarzonych paszczkach palenisk łomotały wstrząsane konwulsyjnie ruszty. Sklepieniem szedł trzask kruszonych cegieł i chaotyczny łoskot uderzającego w mury żywiołu.

Pierzchający z okrzykiem grozy robotnicy, dojrawszy nadchodzących, podnieśli lament.

— Co się stało? — krzyknął półzdrętwiały Słodowski.

— Kocioł... panie! — jęknął jeden z palaczy.

Słodowski zakrył twarz rękoma.

— Gdzie „szpajzer?“ — huknął Olczyński, nie zatrzymując się w biegu.

Zdławione „tam... tam...” wybiegło z kilku ust naraz i ręce wyciągnęły się w stronę dyszącej zniszczeniem otchłani.

— Rany boskie! — wrzasnął Słodowski.

Któraś z kobiet uderzyła w płacz straszny.

— I mój... i mój... tam został... Reparował *pakunek*... Ludzie ratujcie! Najświętsza Panienczko!

I rozkrzyżowawszy ręce, padła na ziemię, tarzając się z rozpacz i zawo-
dząc w niebogłosy.

Ólszyński, nie namysławiając się dłużej, skoczył ku wiodącej pod piece bramie. Szarpnął z całej siły... Podwoje rozwarły się z hukiem...

Pałacy powiew zakotłował falą nad jego głową. Instynktownie cofnął się w tył.

— Wybić okna! — krzyknął.

Schwycił z ziemi odłamek cegły. Rzucił w najbliższe. Za jego przykładem posypały się kamienie i gruz. Brzękły szyby. Przez wybite otwory poczęła szybować z poświstem nagromadzona w kotłowni para.

Rozległ się szum i siny tuman zawisł płachtą w powietrzu.

Olszyński sekund parę stał z wlepionym okiem w ziejące wrzątkiem od drzwi. Pomimo gorąca dygotał całym ciałem. Twarz i odzież wilżyła skraplająca się w powietrzu para. W kotłowni robiło się widniej.

Olszyński zacisnął ręce nerwowo, pochylił się naprzód i patrzył. Drgnął. Obejrzał się na Słodowskiego.

Ten biegał w niewielkiej odległości wzdłuż muru, wołając raz po raz:

— Rany boskie! rany boskie!..

Olszyński zatrzymał chwilę wzrok na chemiku. Odcień dobrotliwego uśmiechu przemknął mu po obliczu, w jednym rzucie przyskoczył do stojącej przy ścianie kadzi z wodą, zanurzył się z głową po pas... runął do wnętrza budynku.

Okrzyk przerażenia wydarł się z wszystkich piersi. Trupio blady Słodowski zachwiał się na nogach. Powiódł wzrokiem raz jeszcze, jakby nie dowierzał własnym oczom.

W środku kotłowni rozbrzmiewał już donośny głos Jana:

— *Szpajzer! Szpajzer!* Pompę zatrzymać! pompę!

Równocześnie z ust Słodowskiego wybiegło głucho: „śmierć! śmierć!“

Zrobił znak krzyża, zagiął ręce nad głową i w całym pędzie rzucił się ku drzwiom kotłowni.

Ale w tym momencie legł twarzą na ziemi, odrzucony potężną siłą.

Słup pędzonego z kotłowni żaru zagroził drogę.

Na mgnienie oka zapanowała cisza... nad kotłownią wzbił się potężny odłam wysadzonego z trzaskiem dachu i, niby olbrzymi latawiec, zakołysał w górze. Jednocześnie trysnęła sina kolumna pary, świszcząc, wyrzucając z rykiem poszarpane szczątki blach, żelaza i potłuczonych cegieł. Latawiec zawisł siłą rzutu w powietrzu na chwilę, zawirował, a potem runął w kierunku ukośnym; przelatując, uderzył kilkakrotnie w zrąb murów i zarył się w ziemię.

Teraz rozległ się stuk spadających na fabryczne skrzydła z wysokości odłamków.

Przykuci przerażeniem do miejsc robotnicy, zaczęli uciekać, wydając okrzyki panicznego strachu. Pierzchali na oślep, odbiegając jak najdalej.

Rzucony o ziemię Słodowski, poczołgał na czworakach kroków kilka, poczem zerwawszy się na nogi, popędził

przed siebie i dopiero po niejakiem czasie ośmielił się zatrzymać.

Spojrzał osłupiałemi oczyma wokoło. Wyglądał strasznie. Twarz miał, jak kawał świeżego mięsa czerwoną. Do popryszczonej skóry przywarł kurz i miał ceglany...

Dotknął rękoma okaleczonych policzków. Ból przywrócił mu przytomność. Ogarnęła go rozpacz. Chciał krzyknąć, zawołać o pomoc, głos zamarł mu w krtani. Jeszcze raz powiódł wzrokiem. Kotłownia dymiła, huczała...

Słodowskiemu wydało się, że w tym głuszącym łoskocie słyszy ludzkie jęki. Zmógł się, dobył ostatnich sił i począł biedz, okrażając, ku lewemu skrzydłu fabryki. Przez myśl przeleciało mu błyskawicą, że wejściem przez bu-racznnię może się przedostać pod kotły.

Tchu mu zaczynało brakować, twarz piekła, ale pędził z duszą, pełną błagalnego szeptu:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

I rzeczywiście, od tej strony przystęp był wolny.

Kilku odważniejszych robotników, ujrzawszy pędzącego chemika, poszło

w jego ślady, a równocześnie z administracyi poczęli wybiegać pojedynczo i grupami znajdujący się na zabawie goście.

Wstrząsający huk przedarł się, mimo dźwięków muzyki, na salony. W pierwszej chwili myślano, że robotnicy urządzili jaką owacyę jubilatowi. Ale złudzenie nie trwało długo.

Pierwszy *maszynmajster* pojął, co się stało. Wybiegł do sieni. Jeden rzut oka starczył, aby się upewnić o strasznej prawdzie.

Była to właśnie chwila, w której zrozpaczony Słodowski spieszył na ratunek Olszyńskiemu.

Maszynmajster puścił się ku fabryce z przeraźliwem wołaniem.

Za nim wkrótce popędził tłum gości z młodym Kurzbachem na czele. Krzyki robotników „kocioł! kocioł!” wskazywały dostatecznie przyczynę i źródło nieszczęścia.

Nad zaklęśłym dachem kotłowni wiły się kłębiki wydobywającej się szczelinami pary, huk malał, przechodząc w głucho brzęczenie drgającego metalu. Gruz, wióry, trzaski zaścielały przestrzeń pod ścianami.

Tłum zawodzących robotników stał opodal półkolem. Nadbiegł sam administrator. Na widok obrazu zniszczenia zatrząsł się cały i chwyciwszy się za głowę, jęknął. Zaszlochana żona robotnika rzuciła się ze strasznym krzykiem ku niemu:

— O ja sierota nieszczęśliwa!

Na krzyk ten odezwały się inne głosy:

— Ludzie w kotłowni! ludzie!

Z grona nadlatujących biesiadników wydarł się okrzyk:

— Ratować! Na Boga! ratować!

Kilku mężczyzn pobiegło ku fabryce, kilku innych zaczęło uspakajać zanoszące się płaczem panie.

Nagle Horst Kurzbach, który już drapał się po rynnie ku górnemu oknu kotłowni, aby zajrzeć do środka, odwróciwszy się, obrzucił okiem obecnych i stłumionym głosem spytał:

— A gdzie Słodowski? Olszyński?

— W środku! tam! — odpowiedział któryś robotnik.

Zaległo głucho milczenie.

I z dwóch razem piersi kobiecych popłynął jęk...

Obiedwie Olszyńskie, matka i córka, osunęły się na kolana.

Po twarzy Horsta przebiegł wyraz dumnej odwagi.

— Za mną! — krzyknął i jak kot zaczął się wspinać po kruszącym się pod jego ciężarem zrębie.

W patrzących krew zastygła.

Upłynęło kilka jak wiek długich minut, kilka chwil złowrogiej ciszy.

Wszystkich ogarnęła martwota przeżenienia i rozpacz.

Tylko z ust półomdlałej pani Olszyńskiej wybiegało co chwila łzawe:

— Jaś! Jaś!

Staruszka szamotała się z otaczającymi, którzy ją przytrzymywali, pocieszając — wyciągała rozpostarte dłonie ku złowieszczym murom, łkając. Wala klęczała przy niej z oczyma łez pełnemi.

Wtem na jednej z kondygnacyj, prowadzącego nad piece sklepienia, w małym otworze, wybitym dla lepszego przewiewu, ukazała się zmieniona do niepoznania, sino-czarna twarz Słodowskiego:

— Do mnie! do mnie! prędejj! kto w Boga wierzy! — krzyknął zachrypłym głosem — przez buraczarnię! przez buraczarnię!...

Na głos chemika rozległ się okrzyk nadziei, odwaga wstąpiła w serca. Bliżej stojący rzucili się ku pomostowi, wiodącemu na buraczarnię!...

Tymczasem Olszyński, wbiegłszy na oślep w ziejący zniszczeniem krater kotłowni, wiedziony instynktem, w całym pędzie przebiegł szczęśliwie przez bałwany szalejącej z hukiem pary do ściany, przy której ustawiona była *szpajzpompa*. Tu kurzawa i opar były rzadsze, bo odciągał je kanał podziemny, do wywożenia żuzła i popiołu służący. Jeden rzut oka starczył, aby ogrom niebezpieczeństwa ocenić.

Olszyński błyskawicznie zdał sobie sprawę ze straszliwego położenia. Pomimo kłębow pary, czerwony odbłysek znaczył jaskrawą linię palenisk. Jeden z dziesięciu kotłów osiadł już na rusztach. Rozżarzone blachy, niby piecina olbrzymiego jaja, przeświecały na nitach, trąc eliptyczną wypukłością o zaszklone gorącym boki sklepień. Po wygiętych bokach prześlizgał się, skrzypiąc, kadłub ruszonego z posad kotła, prężąc się i wydymając, do przejrzystej, napełnionej jarkiem świa-

tłem, bani podobny. Świstawka wyła, kłapa bezpieczeństwa żegotała.

Nie ulegało wątpliwości, że kocioł dla braku wody nie mógł powstrzymać naporu rozkładającej się na wybuchowe atomy pary...

Olszyński zrozumiał, że wybuch la-da chwila nastąpi. Pozostawało tylko zmniejszyć jego siłę. Jedna kropla chłodnej wody, wtłoczona w rozpaloną paszczkę, mogła wybuch spotęgować.

Wytrawny umysł Olszyńskiego zaczął wobec straszliwego niebezpieczeństwa szukać dróg ratunku. Należało przede wszystkim przeciąć jak najspieszniej dopływ wody.

Olszyński z piorunującym krzykiem: „Szpajzer! zatrzymać pompę!“ rzucił się ku kranom maszyny.

Dotknął ręką stalowej korby wentyla. Wentyl był zamknięty, pompa na szczęście nie funkcjonowała.

Ale w tej chwili ujrzał przed sobą wysuwającą się parę rąk i głos zdławiony:

Herr Jesu! Herr Jesu!

Był to nowy *szpajzer*, Johann Kuntze. Zaskoczony katastrofą, z okiem w słup postawionem, klęczał przy nie-

ruchomej pompie, szukając po omacku kranów. Wyciągał bezprzymtomnie ręce przed siebie, macając. Olszyński odgadł z ruchów, że zamiarem *szpajzera* było puścić w ruch pompę. Momentalnie chwycił go w ramiona i odrzuciwszy na bok, krzyknął groźnie:

— Nie tykaj pompy! Na kotły! podnieść klapy!

Sam po otwartych drzwiczkach pierwszego ogniska wdrapał się na sklepienie pieców i klękawszy, poczołgał, osłaniając twarz rękoma.

Górna część kotłowni trzęsła się od łoskotu. Gorąco tłumiło oddech, praczący żar nie pozwolił otworzyć oczu. Olszyński po huku poznawał, w którą mu wypada kierować się stronę. Czołgał się. Ogarniała go jakaś dzika chęć walki z rozszalałym żywiołem. W miarę jak się zbliżał do zagrożonego wybuchem kotła, odstąpił go nawet instynkt zachowawczy. Jakaś niepojęta siła, tłumiąca uczucie bojaźni, wybiła w czeluście niechybnej śmierci...

Wreszcie wśród huraganu wirujących nad jego głową pyłu, kurzu i chmur pary, rozciągnięty na rozpalonej polepie gliny, dotarł Olszyński

do wystającej nad sklepieniem pokrywy... Nadludzkim wysiłkiem powstał na nogi, objął ramieniem przyciskające klapy bezpieczeństwa, ciężary... Dźwignął... Warkły żelaziwa, rozległ się piekielny huk, przez otwarte skrzela trawionego ogniem olbrzyma buchnęły fontanną miriady rozpylonego wrzątku, zaświdrowały w wiązaniach dachu i krusząc wszystko, wzbity się wyszczerbionym wyłomem ku górze, z rykiem, co w krawędzie podniebnych obłoków uderzył.

Potem spadła lawina wyrzuconych wytryskiem pary szczątków i jasność dzienna zajrzała w drgający konwulsyjnym odruchem budynek.

Niebezpieczeństwo minęło. Wybuch ograniczył się na rozdarcie zewnętrznej ściany kotła, która razem ze zbiornikiem pary wyleciała w powietrze.

Rozchodząca się przez okna kurza wa, i wybite eksplozją otwory dachów, dozwalały dojrzeć całe wnętrze.

Pierwszy, przez wał pokruszonych cegieł i stos odłamków, przedostał się wejściem od buraczarni Słodowski. Równocześnie z chemikiem, na jednym z poszarpanych wybuchem gzemsów

mur, ukazał się Horst Kurzbach. Maszynmajster Knotz, z kilku robotnikami, podważywszy boczną furtkę, wtargnął z drugiej strony, kierując się do wrót głównych, które się własnym ciężarem w czasie wybuchu zawarły.

W mgnieniu oka wypchnięto od drzwi.

Okrzyk zgrozy rozdarł powietrze.

Przy *szpajzpompie* leżał twarzą do ziemi dozorca Kuntze. Dwóch robotników rzuciło się ku niemu. Uniosło... Rozwarł szeroko żrenice, roześmiał się dziko, wyrwał się z podtrzymujących go ramion i wybiegł w szalonych podskokach z przerażającym chichotem.

— Zwaryował! — krzyknął Słodowski i już miał się puścić w pogoń za nieszczęsnym, gdy rozglądający się z podwyższenia, młody Kurzbach zeskończywszy nagle, rzucił się na kotły, wołając rozdzierającym głosem:

— Tam! tam! Olszyński! Olszyński!

Nad stygnącym kraterem rozłupanej żelaznej skorupy kotła, z głową spoczywającą bezwładnie na piętrzących się wokół gruzach, leżał Olszyński,

Z głębokiej rany na czole, w któ-

rem tkwiła szczapa oderwanego wybuchem kruszcu, sączyła się struga krwi.

Słodowski padł na kolana z rykiem.

Koniec części pierwszej.





1/24. 36. —
12/24/36.

Biblioteka AŚ Kielce



0390760